Cena 40 gr. PO KONFISKACIE NAKŁAD DRUGI Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ODNOWA

TYGODNIK

11 kwietnia 1937 r. Niedziela Rok II. Nr. 22 (21).

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Traugutta Nr. 3, m. 6. Telefon: 6.97-99.

TREŚĆ NUMERU:

— *Tot.:* Raptularz tygodniowy. — Kronika zagraniczna. — *W. Nienaski:* „Polska szkoła" — *Asper:* Litwa na rozdrożu. — *Dr. Karol Ludwik Koniński:* O nową organizację opieki społecznej. — *J. J.:* Świat pracy. — *K. O.:* Wśród nędzy i ciemnoty. — Przypomnienia. — *Tenax:* Uwagi. — *Gen. Roja Bolesław:* Niepodległość i jej realizacja. — *Karol Piotr Górski:* Powrót zawiedzionych pielgrzymów. — *Irena Pannenkowa:* Gwiazda Racławic. — *K. B.:* Szary człowiek. — *J. Boniecka:* „Sonata Księżycowa". — *X:* Odezwa. — *A. W.:* Przegląd prasy krajowej. — *Azet:* Z prasy zagranicznej.

NASZA ANKIETA

Marszałek konstytuanty w Polsce Niepodległej, później marszałek senatu, znany w całym kraju jeszcze od czasów sejmu pruskiego z krystalicznej prawości, niezachwianej odwagi i płomiennego patrjotyzmu, zechciał przemówić w ankiecie.

Nadmiar materjału redakcyjnego nie pozwolił nam na umieszczenie innych głosów, które odkładamy do następnych numerów.

REDAKCJA.

Raptularz tygodniowy

— ZAJAZD W KATOWICACH. — ZIELONY SZTANDAR O PROWOKACJI).

*

Szturm, przypuszczony przez członków Z. Z. Z. do własnego lokalu w Katowicach, może nie jest naważniejszem, lecz chyba najznamienniejszem wydarzeniem tygodnia. B. Premjer Moraczewski zdezawuowany i jego zwolennicy „usunięci siłą", a dawni podkomendni uszeregowani w czwórkach (!) maszerują, zajmują, gospodarują — a przedewszystkiem zgłaszają akces. Bronią się jeszcze ostatki przed zarazą, czy długo jednak potrafią? Bez wątpienia, użycie tych metod źle świadczy o wczorajszych zwycięzcach katowickich. Świadomie, czy nieświadomie służą zasadzie pogłębiania barbarzyństwa, znajdującej tak często zwolenników wszędzie tam, gdzie brak wszelkich argumentów, czy przekonania, rozumu, czy nawet szczerości. Ciasne te umysły nie dają się przekonać, że tryumfy na takiej podstawie odniesione nigdy nie bywały trwałemi, że można naturalnie wszystkie związki i nie związki do wspólnej ułożyć mogiły i czekać, aż porośnie na nich trawa zapomnienia, ale rządzić związkami tak, jak to demonstrowano w Katowicach, niepodobna. Wszak niedawno próbował właśnie owych metod nie kto inny, tylko ob. Jędrzej Moraczewski. Wkraczał (trudno stwierdzić czy szykiem czwórkowym) do lokali, zajmował je, usuwał siłą, a „większość" na wewnątrz i zewnątrz biła mu brawo, poczem Zarząd, zgłosiwszy akces do B. B., uchwalał nowy budżet, w którym po stronie dochodów odnajdywaliśmy... Hej! Łzy się kręcą... A „Głos Powszechny" (pisemko w sam raz młodzieńcze, jak na nowe doświadczenia ob. Moraczewskiego), cytujący różne klasyczne utwory, ostatnio tak słusznie fragment „Maratonu" Ujejskiego, nie cytował jeszcze znanego okrzyku: „Alеż sam tego chciałeś, George Dandin"!

*

„Zielony Sztandar", naczelny organ Stronnictwa Ludowego, pisze:

„Rozrost i siła Stronnictwa Ludowego nie dają spokoju naszym wrogom. Liczono na rozbieżności i rozłamy, a tymczasem Kongres nasz, który się odbył dn. 18 stycznia, dał dowód takiej zwartości i spoistości, jakiej jeszcze nie było w ruchu ludowym. Chwycono się więc nowego sposobu walki ze Stronnictwem Ludowem: prowokacji!

Niedawno rozesłano po całej Polsce plugawą ulotkę, wymierzoną przeciw uniwersytetowi wiejskiemu w Gaci i p. Solarzowi, a ułożono owa ulotkę tak, jak gdyby ona pochodziła od któregoś z ludowców. Obecnie znowu zarzucono Środkową Małopolskę dziesiątkami tysięcy ulotek nielegalnych, które zawierają łajdackie oszczerstwa przeciw działaczom ludowym, w pierwszym rzędzie przeciw dr. Jedlińskiemu. Oczywiście chodzi o nic innego, jak o poderwanie zaufania do owych działaczy i obezwładnienie ich w pracy ludowej. Równocześnie ulotki owe nawołują chłopów, by gotowali się iść na Warszawę z widłami i cepami, by gotowali się do rewolucji.

Jest to wyraźna robota prowokatorska, prowadzona wedle starych i wypróbowanych metod.

Na tę robotę prowokatorską zwracamy tem bardziej uwagę, że prowadzi ją ktoś, kto rozporządza wielkiemi środkami pieniężnemi i technicznemi Samo rozesłanie pocztą owych plugawych ulotek, w tak wielkiej masie, — musiało kosztować owego „kogoś" kilka tysięcy zł. Kto za to płaci?

Nie łatwą też chyba musi być rzeczą dla zwykłego człowieka przemycić pocztą tak wielką ilość ulotek, które mają znamiona nielegalności!

W każdym razie wygląda to wszystko bardzo, a bardzo dziwnie.

Wiemy, że chłopi dojrzeli już politycznie i wyrobieni w pracy, potrafią zorjentować się, gdzie jest prowokacja i prowokacji tej ustrzegą się".

Dziennikarze w takich wypadkach, nie chcąc zmniejszać wrażenia samej wiadomości, piszą grubemi literami: komentarze zbyteczne! My zaś, stojąc wobec wyraźnego zjawiska, które socjolog nazywa: prowokacja w skali masowej, musimy napisać: komentarz jeszcze nastąpi.

tot.

Kronika zagraniczna

POWRÓT.

W najbliższym czasie ma nastąpić powrót p. min. Becka po długiej, bo przeszło dwumiesięcznej nieobecności. Nie długo jednak p. minister zabawi w Warszawie, bo wnet nastąpi wyjazd do Londynu na koronację, a potem mówi się o dłuższym letnim urlopie.

MAŁA ENTENTA.

Zjazd Małej Ententy w Belgradzie i podróż prezydenta Benesza dały znów sposobność do powodzi pogłosek i plotek na temat trwałości małego porozumienia. Plotki te wyrosły na tle zmiany w polityce jugosłowiańskiej i ugody z Włochami, rozgłośnie reklamowanej z Rzymu i Berlina jako przyłączenie się Jugosławji do osi Rzym-Berlin. Mała Ententa jest porozumieniem trzech państw, Czechosłowacji, Rumunji i Jugosławji w zupełnie określonym celu obrony przed rewindykacjami Węgier. Z tego powodu powstała i w tem tkwi główny sens jej istnienia. Jak długo na tym punkcie nic się nie zmieniło o rozbiciu Małej Ententy niema co mówić. Zjazd Belgradzki stwierdził, że w stosunku do Węgier wszystkie trzy państwa zachowują całkowitą solidarność. Dalszemu istnieniu przeto Małej Ententy nic nie zagraża. A w stosunku do innych problemów państwa małego porozumienia od początku zachowywały wolną rękę i z solidarnością ich bywało bardzo rozmaicie. Ma oddzielny sojusz Rumunja z Polską, Czechosłowacja z Francją i Rosją sowiecką. Nie pierwszy też raz Jugosławja zawiera zgodę z Włochami. Dotąd zawsze była ona, niestety, dość krótkotrwała. Rumunja i Jugosławja wchodzą bez Czechosłowacji do Ententy bałkańskiej. Jugosławja oddzielnie ma pakt przyjaźni z Bułgarją. Inna rzecz, że przez cały czas trwania Małej Ententy były usiłowania przekształcenia jej w ugrupowanie bardzo ścisłe, wychodzące poza ramy wspólnego interesu w stosunku do Węgier. Bywały pod tym względem chwile lepsze i gorsze. Ostatnio wydało się, że ogólna współpraca trzech państw wchodzi na dobrą drogę. To, ale tylko to, nie zaś istnienie Małej Ententy, zostało silnie podważone przez nowy kurs polityki jugosłowiańskiej. To właśnie stara się naprawić prez. Benesz w Belgradzie. Rozbicie Małej Ententy wcale nie grozi. Grozi tylko jej zacieśnienie się znów do pierwotnego tylko zadania, wspólnej obrony przed Węgrami. Ogromne znaczenie dla dalszego rozwoju wypadków pod tym względem będzie miała polityka Rumunji, która waha się pomiędzy linją czechosłowacką a jugosłowiańską. Miodowe chwile porozumienia włosko-jugosłowiańskiego nie nadają się specjalnie do prób rozszerzenia podstaw współpracy państw Małej Ententy. Ale ostrożność każe poczekać, co będzie dalej. Na najważniejszym punkcie, w stosunku do Węgier, solidarność w każdym razie została utrzymana i nie grożą już żadne porozumienia oddzielne. A tem samem istnienie Małej Entetny pozostaje nadal niewzruszonym faktem.

ZGODA.

Jakkolwiek wiele, bardzo wiele w ideologji i programie narodowego-socjalizmu pochodzi z ducha starego wodza cesarskich Niemiec, gen. L. Ludendorffa i jego energicznej małżonki, pomiędzy Führerem Hitlerem i starym generałem oddawna istniała nieprzyjaźń. Były w tem niewątpliwie momenty ściśle osobiste, bo generał patrzył wciąż na wodza Trzeciej Rzeszy jak na kaprala z wielkiej wojny i nie mógł

W. NIENASKI.

„Polska szkoła"

Polityka zagraniczna p. min. Becka a fait l'école. Niezależnie od tego, czy wpływy polskie odegrały faktycznie rolę w Belgji i Jugosławji, trudno zaprzeczyć, że w obu wypadkach działał polski przykład. Eufemistycznie zwie się to „usamodzielnieniem się" polityki. Faktycznie jest uzależnieniem się, ale w inną, niż dotąd, stronę. Przynajmniej uzależnieniem się dyplomatycznem, na czas pokoju. Bo nie jesteśmy zgoła skłonni przeceniać znaczenia takich zwrotów na wypadek, na który właściwie liczy się w grze dyplomatycznej, na wypadek wojny. Tak samo, jak po porozumieniu polsko-niemieckiem nastąpił powrót do przymierza z Francją i mało jest szans, aby najzręczniejsza dyplomacja mogła doprowadzić Polskę na wypadek wojny do tego, by stanęła z bronią w ręku po stronie Niemiec, tak samo nie uwierzymy, aby po stronie Niemiec stanęła w jakimś wypadku Belgja, lub z Włochami, a przeto i z Niemcami, przeciw swym dotychczasowym partnerom z Małej Ententy zwróciła się Jugosławja.

Ale mimo to, że znaczenie praktyczne „szkoły polskiej" w dyplomacji europejskiej jest bardzo względne i wartość sukcesów niemieckich czy włoskich musi być sprowadzona do właściwej, raczej skromnej, miary, nie można objawów jej lekceważyć. Fakt, że śladem polskim poszła Belgja i Jugosławja, a może pójść jeszcze i Rumunja, wskazuje na wielkie postępy tej metody. A w oczach zachodu demokratycznego niemałem obciążeniem dyplomacji polskiej będzie fakt, że wzorem Polski poszły właśnie te państwa, w stosunku do których dyplomacja polska rozwijała bardzo ożywioną działalność, prowadziła otwarty flirt na oczach wszystkich. Nie przypuszczamy, aby akcja polska była w polityce Belgji i Jugosławji czynnikiem decydującym. Wszak nawet w sprzymierzonej Rumunji, gdzie wpływy polskie są stosunkowo najsilniejsze i odegrały pewną rolę w decyzjach personalnych, nie sięgają one tak daleko, aby można było im przypisać wahania polityki rumuńskiej. Ale nie jest dobrze, że gromadzą się pozory, które pozwolą znów oskarżać choćby niesłusznie dyplomację polską o działanie w cudzym interesie.

Brzmi to dość paradoksalnie, ale u podstaw polityki „usamodzielniania się" leży właśnie bezwzględne zaufanie do Francji i pewność, że mimo wszystko w momencie decydującym Francja nie będzie mogła wyciągnąć konsekwencji ze zwrotów dyplomatycznych „usamodzielniających się" państw i, w imię własnego interesu, będzie musiała stanąć w obronie nawet swych niewiernych przyjaciół. Ta pewność, oby istotnie niezawodna, pozwala właśnie na bardzo egoistyczne realizowanie własnych doraźnych korzyści, bez liczenia się z interesami Francji i bez względu na to, że polityka krótkowzrocznie utrudnia oddalenie grozy wojny, przekreślając pokojowe wysiłki demokracyj zachodu w najdonioślejszych momentach.

W tem tkwi główne znaczenie i główne niebezpieczeństwo „polskiej szkoły". Porozumienie polsko-niemieckie nastąpiło w chwili, kiedy wokół Niemiec zacieśniał się właśnie misterny krąg, mający spowodować zupełne ich osamotnienie i zmusić je do kapitulacji. Jest rzeczą oczywistą, że tylko w takim momencie, w momencie najwyższego zagrożenia własnych interesów, Niemcy były skłonne do zrezygnowania w stosunku do Polski na czas pewien z wrogiego nastawienia i za tę cenę kupiły wyłom w otaczającym je coraz ciaśniej murze. To, właśnie to, właśnie pomoc polska, pozwoliła Niemcom przetrwać zwycięsko dyplomatyczną ofensywę min. Barthou, udaremnić pakt wschodni, a następnie wyzyskać konflikt włosko-angielski dla przeprowadzenia olbrzymich zbrojeń, zajęcia Nadrenji i pogwałcenia umów locarneńskich. W rezultacie korzyści Niemiec przewyższyły znacznie korzyści Polski, obróciły się przeciw niej, powodując przesunięcie się zupełne stosunku sił na wschodzie i konsekwencje, które już jasno widzimy w sprawie Gdańska.

Nie jest też rzeczą przypadku, że zwrot w polityce Belgji i Jugosławji następuje w analogicznej sytuacji. Zbrojenia francuskie i angielskie, w oparciu o Stany Zjednoczone, spowodowały przesunięcie się stosunku sił i, co za tem idzie, inicjatywy politycznej, tak modnego obecnie „dynamizmu", na wyraźną niekorzyść państw totalnych. Co więcej, zbrojenia te i związana z niemi sprawa surowców, ich braku i wzrostu cen, zmusza państwa totalne do zupełnej zmiany dotychczasowej polityki, szukania nowych dróg i nowych źródeł siły. Pierwsi bodaj sygnalizowaliśmy w „Odnowie" już dwa tygodnie temu, że sprawa surowców zmusi Niemcy do szukania zbliżenia z Rosją sowiecką. Od tego czasu alarmy na ten temat, a i objawy tego w Niemczech, mnożą się z zatrważającą szybkością. Oczywiście jednak taki zwrot nie może się dokonać z dnia na dzień i bez dłuższego przygotowania.

W ciężkich tedy dla państw totalnych chwilach nadszedł dla nich sukurs belgijski i jugosłowiański. Dał on i Niemcom i Włochom doraźne sukcesy, konieczne dla utrzymania, w ciężkich warunkach gospodarczych, nastrojów własnej ludności. Stworzył nowy wyłom w jednolitym froncie ich przeciwników, utrudniając realizację planów paktu zachodniego i zbiorowego bezpieczeństwa, otwierając drogę do Europy Środkowej i na Bałkany, stwarzając poważne zagrożenie Czechosłowacji. Dyplomacja państw demokratycznych, zamiast dalej prowadzić dzieło odosobnienia państw totalnych i uniemożliwienia im dalszych zbrojeń, musi naprawiać z trudem poczynione szkody. Niemcy i Włochy zyskują na czasie. Mogą teraz spokojnie szukać nowych źródeł siły w zbliżeniu, co najmniej gospodarczem, z Rosją sowiecką.

Jest już ironją losu, że nawet te doraźne korzyści, które z naśladowania polskiego wzoru osiągają Belgja i Jugosławja, zwracają się przeciw interesom Polski. Neutralność belgijska, konieczna Belgji z powodów natury przedewszystkiem wewnętrzno-politycznej, zamyka Francji bramę wypadową ku Niemcom, oddalając przez to jeszcze bardziej pomoc francuską w razie niesprowokowanej napaści na jej wschodnich sprzymierzeńców, do których i my się liczymy. Samodzielna polityka Jugosławji osłabia Małą Ententę i albo otworzy Niemcom drogę do Środkowej Europy i na Bałkany, dopełniając dzieła otoczenia Polski od zachodu i oddalając nas od zachodnich naszych sprzymierzeńców, albo też zmusi nietylko Czechosłowację, ale i sprzymierzoną z nami Rumunję do ścisłego związku z Rosją sowiecką. Ani jedno ani drugie nie leży w interesie Polski. Nadewszystko zaś pozwolenie państwom totalnym na zyskanie na czasie czyni realnem niebezpieczeństwo ich zbliżenia z Rosją sowiecką, według planów przywróconego do łask gen. Ludendorffa. Czem zaś grozi takie zbliżenie Polsce, nie trzeba się chyba nad tem rozwodzić.

Polityka, którą zapoczątkował p. min. Beck, a która zrobiła szkołę w Belgji i Jugosławji, uchodzi za wzór realizmu politycznego, opartego na włoskim wzorze il sacro egoismo. Istotnie przynosi ona pewne doraźne korzyści państwom, które ją stosują. Obawiamy się jednak, że do historji przejdzie „szkoła polska" w dyplomacji jako przykład przerażającego politycznego krótkowidztwa. Na sprawach Polski, która ją pierwsza po wojnie zastosowała, krótkowzroczność ta zaczyna już być widoczna.

---

pogodzić się z tem, że wyrósł on generałowi nad głowę. Ale były i momenty ideowe i polityczne. Hitler nie był skłonny przyjąć na swój rachunek zbyt daleko już idących teoryj rasowych a zwłaszcza religijnych Ludendorffów. A Ludendorff, który zachował mimo wszystko wiele trzeźwości politycznej, ostro krytykował poczynania Führera w stosunku do polityki europejskiej, zwłaszcza zaś przeciwny był polityce antysowieckiej (broniąc starych zasad bismarckowskich o konieczności zgody z Rosją) i angażowaniu się Niemiec w Hiszpanji. Nagle nastąpiła zgoda. Nastąpiła w momencie, kiedy po encyklicie papieskiej zanosi się na zaostrzenie stosunku do katolicyzmu, kiedy w Hiszpanji wyraźnie Niemcy zostawiają dalszy kłopot Włochom, a sprawa surowców zmusza je do rewizji stosunku do Rosji sowieckiej. Te trzy momenty określają podłoże, na którem nastąpiło porozumienie pomiędzy Hitlerem a Ludendorffem. A zarazem stanowią powód, dlaczego ten wypadek, zdawałoby się ściśle wewnętrzny i pozbawiony szerszego znaczenia, interesuje całą Europę. A w nienajmniejszym stopniu także i Polskę, do przyjaciół której stary generał się nie zalicza.

ASPER.

Litwa na rozdrożu

Obraz Litwy na rozdrożu nie byłby kompletny, gdyby nie przyjrzeć się pokrótce sprawom, które nas w szczególności dotyczą, gdyż odnoszą się do 200 tysięcy Polaków zamieszkałych w Kownie i jego okolicach. Dwieście tysięcy, to cyfra w porównaniu z naszemi ośrodkami emigracyjnemi na Łotwie a nawet w Czechosłowacji — bardzo pokaźna. O ich potrzebach i jak w danym wypadku — niedoli politycznej, nie wolno zapominać. Podczas kiedy na terenie Wileńszczyzny i przyległych do niej powiatów Rzeczpospolita stworzyła do użytku ludności litewskiej proporcjonalną liczbę szkół powszechnych i zawodowych z językiem wykładowym litewskim, tam — po drugiej stronie Niemna, wspomnianych dwieście tysięcy rodaków naszych posiada aż... 14 szkół początkowych (!) które są w możności pomieścić conajwyżej 400 dzieci. Jak słyszę, w r. b. z tej liczby ubyło jeszcze kilka szkół, jest to więc ilość znikoma, pozostawiona jakby na urągowisko ze sprawiedliwości.

Czy sądzicie, że kilka tysięcy dzieci szkolnych jest w możności uczęszczania przynajmniej do szkół litewskich bez ograniczeń? Nowa ustawa (styczniowa) zdąża do dalszego ograniczenia praw naszych do oświaty. Najmniejsza „skaza" lub zarzut nieprawomyślności powoduje, że dzieci oskarżonych mogą się wogóle znaleść poza obrębem danej uczelni. O dostanie się do gimnazjum jest bardzo trudno, co się zaś tyczy uniwersytetu imienia Witolda — jest to prawie niemożliwością. Godząc w młodzież, czujne oko argusów kowieńskich zdąża równolegle do niezwiększania się kadr nauczycielstwa polskiego. Wiem z najlepszego źródła, że tak zwane „komisje egzaminacyjne" obcinają bezlitośnie abiturjentów polskich; w roku ubiegłym odrzucono w ten sposób $^{4}/_{5}$ zdających, zresztą starannie przygotowanych kandydatów. Nie dopuszcza się ich ani do Seminarium Nauczycielskiego, ani do Pedagogium w Kłajpedzie. Pozostaje zatem przygotowanie prywatne, ale i to zostaje surowo zakazane przez niedawno wydaną ustawę. Nauka domowa może obejmować jedynie grono najbliższej rodziny, to jest sióstr i braci, a współudział nauczyciela (korepetytora) z zewnątrz jest surowo karany.

Widać więc jasno, do czego zmierzają władze kowieńskie. Idzie tu o *zupełne zanulowanie* dotychczasowych, zresztą bardzo nieznacznych swobód w dziedzinie nauczania, o zlitwinizowanie wielu tysięcy naszej młodzieży. Gdyby jednak ustawy stcsowane były przynajmniej à la lettre — w sposób kulturalny. Leżą jednak przedemną ostatnie wiadomości o niebywałem wprost traktowaniu nauczycielstwa naszego, wyliczę z nich jedynie najjaskrawsze. Warto przytem wiedzieć, że wszechwładnymi egzekutorami w tej dziedzinie są *komendanci powiatowi,* mianowani w tym celu specjalnie z uwagi na panujący od kilku lat na Litwie stan wojenny. Komendanci tacy mają niemal, że nieograniczoną władzę na terenie swego powiatu włącznie do brutalnego prawa pięści.

Dość wymienić skutki tej osobliwej „Soldateski": — pobicie dwu nauczycieli polskich—Prokopowicza i Dekszni, napad na młode nauczycielki szkoły powszechnej, Pankiewiczównę i Kirkiełłównę (w lecie r. ub.) wyłącznie za to, że przygotowywały one grono dzieci polskich do pierwszej Spowiedzi.

Kierownik szkoły w Bienuniach, p. Lipniewicz osadzony został przez komendanta powiatowego w więzieniu na przeciąg kilku miesięcy z powodu rzekomej agitacji politycznej. Chodziło w danym razie poprostu o pozbawienie kilkudziesięciu dzieci kierownictwa a tem samem o zlikwidowanie szkoły w Bienuniach, co się też wkrótce po tym stało. Nie lepiej dzieje się ze świetlicami polskiemi, których zachowało się w chwili obecnej zaledwie trzy, czy cztery na całym terenie. Pod samem Kownem, gdzie liczba Polaków jest największa, istnieje już jedna tylko świetlica w Wędziagole. Nie dosyć tego. Nawet wychowanie fizyczne spotyka się ze strony władz litewskich z ciągłemi napaściami. Używanie języka polskiego na boiskach sportowych jest zabronione. Cytują mi fakty, że niedawno podczas gry, jeden z piłkarzy rzucił przez zapomnienie parę słów polskiej komendy do kolegi.

Wystarczało to, aby sędzia niezwłocznie usunął go z boiska a pozatem polecił drużynie *jego... dyskwalifikację* na czas dłuższy. Martyrologizm polski na Litwie nie ogranicza się na represjach wobec młodzieży. W samem Kownie przy lada okazji pada nasze kupiectwo ofiarą zbrojnych napaści. Niezbyt dawno czytaliśmy o „pogromie" dokonanym przez szaulisów na jednej z księgarni polskich. Pamiętam, jak przed dwoma laty fala prześladowań dotknęła nawet *mieszkania prywatne* polskich działaczów. Oblewano je cuchnącym płynem, rozbijano okna, rzucając w nie z ulicy płytami z chodników kowieńskich, kamieniami i żelastwem. Doszło do tego, że Polak kowieński nie był pewny życia i mienia nawet w centrum stolicy, gdzie teoretycznie czuwały nad spokojem organy policji. Pamiętam ekscesy na uniwersytecie, skąd w maju roku ubiegłego wygnano ostatnie dziesiątki studentów Polaków. Smutnym faktem jest to, że wychodźtwo nasze na Litwie nie posiada zupełnie prasy polskiej. Nie mogę bowiem nazwać pismem polskiem nieszczęśliwego „Dnia Kowieńskiego", drukowanego od dłuższego czasu pod terorem, zmuszonego do zamieszczania ohydnych komunikatów o rzekomym „ucisku Litwinów na Wileńszczyźnie", o „ciemnocie polskiej, o „terorze" stosowanym względem naszych mniejszości i tym podobnych bzdur.

Byłoby to wesołe, gdyby nie fakt, że zapełniają „Dzień" artykuły tej treści, jako *nadesłane,* dezorjentują coraz bardziej polski element robotniczy i włościaństwo, któremu trudno jest wytłumaczyć, że elaboraty zamieszczane w gazecie pod przymusem prasowym są wierutnem kłamstwem. Rezultaty osławionej „ustawy" prasowej z września 1935 roku widoczne są na łamach jednego z pozostałych dziś pism polskich w Kownie. Idąc po linji powyższej „Dzień kowieński" zamieścił w Nr 82 z r. ub. takie typowe oświadczenie p. Juszki, osławionego działacza politycznego, że „Polacy na Litwie korzystają z pełni swobód obywatelskich, za to na Wileńszczyźnie, gdzie Polacy nigdy nie mieszkali, ludność litewska cierpi (!?) bezprzykładny ucisk"...

I dalej — że „Litwini mają prawo gospodarować u siebie według swego uznania, a *władze polskie nie mają tu nic do powiedzenia".* Takie i tym podobne oszczerstwa mieszczą w sobie artykuły „nadesłane", drukujące się par force na łamach „Dnia Kowićnskiego". Sapienti sat. Ci, którzy łudzą się jeszcze, pisząc o litewskiej tolerancji, otworzą szeroko oczy, poznając garść faktów, jakie cytuję, stanowiących zaledwie nikły odsetek martyrologizmu polskiego. Życie polskie, gnębione od podstaw, pozbawione szkolnictwa początkowego (nie mówiąc o średniem i wyższem), prasy i duszpasterstwa polskiego w oświetleniu kilku zacytowanych faktów mówi samo za siebie. Czas najwyższy, aby od obserwacji tych arcysmutnych faktów przejść do żądania, czyli zabezpieczenia naszej dwustutysięcznej emigracji na Litwie przynajmniej najbardziej elementarnych swobód i przywilejów. Przecież najmniejsze nawet skupienie polskie zagranicą jest żywą i nierozdzielną cząstką Rzeczpospolitej!

KAROL LUDWIK KONIŃSKI.

O nową organizację opieki społecznej

Jeden z dzienników krakowskich w sprawozdaniach sądowych donosi:

Wedle oskarżenia, Albin Kutek z Rzozowa w pow. krakowskim dopuścił się potwornej zbrodni zabójstwa 10-letniej nieślubnej córeczki swej żony, Aleksandry Pletniówne j.

Kutek — jak głosi akt oskarżenia — biciem zmuszał dziecko do picia benzyny z wodą, lakieru, pokostu, farb, spożywania pełnych łyżeczek soli i pieprzu, bił je młotkiem lub drągiem po głowie, wypuszczał na chłód, to znowuż rozgrzewał ją przy gorącym piecu, wypędzając następnie ponownie na mróz i śnieg. Często uderzał głową dziewczynki o ściany i kopał w brzuch. Czasami wkładał głowę dziewczynki pod poduszkę, a sam na niej siadał, przez co dziecko oczywiście dusiło się. Niejednokrotnie mała Olesia była zamykana w ciemnej piwnicy. Kiedy zmiarkował się, iż dziecko brzydzi się główek śledzia, zmaltretowanej i przerażonej dziewczynce wciskał gwałtem głowę śledzia w usta.

Dziewczynka uciekała przed ojczymem, a i żona oskarżonego, obawiając się swego męża, sypiała co noc u innego sąsiada. 1-go lipca ub. roku nadszedł kres męczarni. Kutek zamknął się z dziewczynką w pokoju, napoił ją sinym kamieniem, a potem począł okładać po głowie i całem ciele kijem, ciskając w dodatku w dziewczynkę cegłą. Pod strasznemi ciosami nastąpił wewnętrzny krwotok i dziewczynka wyzionęła ducha.

Każda dyskusja wobec strasznego nieszczęścia wydaje się bluźnierstwem. Ale nad czemże dyskutować, jak nie nad tem, aby przynajmniej na przyszłość uniknąć nieszczęścia?... A więc:

Rodzina niestety nie jest ostatnią ucieczką istoty bezbronnej; zdarzenie opisane jest jednem z najpotworniejszych; ale codziennie pisma donoszą o wypadkach znęcania się nad dziećmi, nawet przez rodzonych rodziców; iluż okrucieństw do władz ani do pism nikt nie poda? Czy tylko nad dziećmi znęcań się? A okropna dola starych?... Rodzina nie jest twierdzą przed krzywdą; wewnątrz rodziny dzieją się okropności. Więc rozwiązać rodzinę i na jej miejsce postawić „społeczeństwo"?...

Nonsens, bo i społeczeństwo z nikogo nie składa się innego, tylko z jednostek; jeśli te jednostki wytworzyły tyle złych rodzin, to skąd nadzieja, że wytworzą conajmniej tyleż, ile było złych rodzin, dobrych zrzeszeń innego rodzaju? Dobrze ktoś zauważył (E. Bureau), że jeśli się rozprzęgną uczucia rodzicielskie wobec własnych dzieci, to skąd się spodziewać takich uczuć wobec dzieci obcych?... Rozwiązać instytucję rodziny, to naprzód wytępić wiele czułych i wiernych uczuć, dzięki którym rodzina trzyma się — (jeśli się trzyma); na jakichże więc uczuciach będzie się trzymać ta wielka rodzina „społeczeństwo", jeśli te właśnie, tu potrzebne uczucia, będą tępione?... Zostaje więc ta droga: P o p r a w i a ć r o d z i n ę.

Ale ta droga jest wielka i daleka, rzec można, nieskończona, boć całe życie ludzkości jest poprawianiem nieustannem i nieustannem psuciem... Oprócz więc d r o g i m o r a l n e j, obowiązującej jako warunek wstępny i cel ostatni, jest potrzebna, praktycznie rzecz biorąc, jeszcze d r o g a c z u w a n i a nad rodziną. Droga, odrazu wyznam, niebezpieczna, bo groźna dla wolności. Ale raz trzeba zacząć stanowczo odróżniać wolność godziwą od niegodziwej. Byłoby o tem wiele do mówienia. Ale zgodzimy się wszyscy jak jeden mąż, że wolność krzywdzenia słabych nie jest wolnością g o d z i w ą. Nie pozwólmy więc sobie cofnąć się przed tą myślą, że p o w i n n a być jakaś władza, mająca prawo wglądać we wnętrze rodziny, czy się tam okropności nie dzieją. Kto się przed tem wzdraga, niech pomyśli o dziecku zamęczonem na śmierć. Niech pomyśli o tych innych dzieciach oddanych przez los nieszczęsny potworom!...

Zdaję sobie sprawę, że w mieście ustanowienie takiej jakiejś władzy, któraby mogła w pewnych wypadkach we wewnętrznem życiu rodzinnem interwenjować, jest dziś prawie niemożliwem. (Ale zato w mieście jest więcej instytucyj charytatywnych, gdzie się można (?) schronić). Inaczej na wsi. Wieś żyje życiem na wewnątrz dość otwartem, od zewnątrz dość zamkniętem; stanowi więc k o m ó r k ę życia społecznego dość wyrazistą. Tu działać może autorytet dość skutecznie, tu dla autorytetu życie prywatne uczestników społeczności jest dość dostępne i przejrzyste.

Myślę o jakimś P a t r o n a c i e U b o g i c h — tak nazwijmy instytucję, któraby wyposażona była w takie uprawnienia jak np. odebranie dziecka rodzicom (tak!), celem umieszczenia go (gdzie?), kontrola nad kobietami, biorącemi dzieci „na garnuszek", przymusowe rozjemstwo pomiędzy wadzącymi się członkami rodziny, np. pomiędzy rodzicami siedzącymi „na wymowie", a ich dziećmi i t. d. Oczywiście, Patronat Ubogich musiałby dysponować jakiemiś funduszami, starać się, by powstał w danej gminie, (wsi, parafji?) dom dla ubogich (starców, chorych, dzieci nieszczęśliwych), czyli, jak się dawniej nazywało, s z p i t a l — i zarządzać nim. Należałoby się spodziewać, że fundusze Patronatu Ubogich rosłyby, prócz obowiązkowej składki, przez dary, zapisy, fundacje.

Jeśli ktoś zarzuci, że się nie proponuje nic nowego, bo i sądy są, które w pewnych wypadkach interwenjują, i władze bezpieczeństwa, i wreszcie opieka społeczna już funkcjonuje — to zarzut ten będzie płytki i niesłuszny. Wszystko to jest, ale bez porównania mniej skuteczne, niżby ta chęć, by biednym ludziom dać poczuć, iż nie są sami, domagała się. Władze bezpieczeństwa interwenjują post factum, kiedy się już jakieś łajdactwo stało; sąd tylko wtedy, kiedy ci, co są pokrzywdzeni, mają na to i dosyć odwagi i dosyć monety, by się procesować; opieka społeczna jest, ale ileż jest jeszcze nieszczęśliwych?!... Są też rozmaite ustawy, które chronią ubogich przed krzywdą, ale to wszystko jest dalekie i ramowe. A tu by trzeba, aby charitas uzyskała s i ł ę d o r a ź n ą i z a p o b i e g a w c z ą, aby sprawiedliwość zeszła z wysokich piedestałów sądu państwowego i przechadzała się tuż między ludźmi. Odrazu zdaję sobie sprawę, że trud moralny, odpowiedzialność, praca, takt i salomonowa mądrość takiego Patrona ubogich, któryby zarazem był wyposażony we władzę sędziego rozjemczego w niektórych sprawach, n i e m o g ł y b y b y ć m a ł e!... Ale napewno wszędzie znalazłby się ktoś szanowny i mądry, doświadczony, ktoby chciał bezpłatnie wykonywać taką zbożną pracę.

Najlepszymi kandydatami na tych Wojskich wzgl. Patronów, byliby ludzie o f a k t y c z n y m, j u ż posiadanym autorytecie lokalnym. Gdzie więc ksiądz j u ż jest rzeczywistym autorytetem dla swej parafji (wsi, gminy?) — tam ten ksiądz; gdzie jakiś stary gospodarz — tam ten gospodarz; gdzie właściciel dworu — tam on, gdzie nauczyciel — tam on, lub ona (kobiety nie powinny być wykluczone od tego urzędu, znam wieś, gdzie nauczycielka i wcale nie stara, jest „matką wsi"). W każdym razie musi być to człowiek miejscowy, do którego dostęp łatwy; dlatego i okręgi patronalne muszą być małe. Wieś? Parafja? Gmina zbiorowa jużby się nie nadawała. Jak najmniej abstrakcji, jak najwięcej ż y w e g o c z ł o w i e k a! Najlepszym sposobem funkcjonowania takiej instytucji byłby ten, któryby był najbardziej o s o b i s t y, najmniej biurokratyczny.

W naszych stosunkach trudnoby wyobrazić sobie władzę tego typu, skupioną wyłącznie w jednej osobie; myślę, że taki Wojski (lub Patron) byłby prezesem patronatu wsiowego (parafjalnego?), do którego to Patronatu należeliby, jako wiryliści: proboszcz (lub jego zastępca wikary), wójt (sołtys), sekretarz gminny, kierownik szkoły, może i inni miejscowi inteligenci, a z wyboru wchodziliby delegaci mieszkańców, w każdym razie delegaci opodatkowanych na patronat, może także jakiś stały reprezentant ubogich, wybrany z pośród miejscowego proletarjatu? W pewnych wypadkach mógłby zasiadać reprezentant władz, czyto sądu, czyto referatu opieki społecznej w starostwie. To są zresztą kwestje drugie. Prezes Patronatu powinien być wybierany na długie lata i mieć szeroką władzę dyskrecjonalną.

Reasumuję. Idzie o to,

1) ż e b y m i ł o s i e r d z i e m i a ł o s t a ł ą i o f i c j a l n ą, l o k a l n ą o r g a n i z a c j ę;

2) ż e b y s p r a w i e d l i w o ś ć w y c h o d z i ł a z ł u n a p r z e c i w, zapobiegała mu, zamiast je tylko karać po niewczasie;

3) ż e b y d o s p r a w i e d l i w o ś c i b y ł o l u d z i o m trochę b l i ż e j.

Żadna i n s t y t u c j a nie zaradzi wszystkiemu, nie ocali wszystkiego. Ale instytucje wiele mogą zrobić, aby było trochę lepiej i trochę mniej źle.

Wieś pańszczyźniana, miasto feudalne nie były wolne od urządzeń i obyczajów barbarzyńskich — i ci coby chcieli „nowego średniowiecza", integralnie je rozumiejąc, bez wyboru, mogą być tylko zacofańcami mianowani. Ale to prawda, że miasto feudalne i wieś pańszczyźniana, znały, kto wie, czy nie więcej konkretnej i b l i s k i e j opieki nad człowiekiem, niż współczesność? Jest państwo liberalne i demokratyczne, są wielkie centralne instytucje opieki społecznej — i to dobrze; ale samotność człowieka dalej trwa; trzebaby dookoła człowieka tworzyć lokalnie bliższe, konkretniejsze, organizacje dobroci i sprawiedliwości; ta, o której tu mowa, nie chce być oczywiście żadnem panaceum: jest pomyślaną jako jeden wycinek koła tej pajęczyny, w którąby trzeba łapać ludzi, dzieci i starych, wszystkich bezbronnych, aby się nie złapali w inną sieć pajęczą: Rozpaczy. T r z e b a r a z z a c z ą ć k o n k r e t n i e i s z c z e g ó ł o w o o b m y ś l a ć n o w e s p o s o b y z g ę s z c z e n i a w i ę z i s p o ł e c z n e j.

I może się znajdzie jakiś „przegląd prasy", w jakimś dzienniku, tygodniku, który podejmie i poda dalej, do k o n s u l ó w tę myśl?... Bo wszyscy mówią górnie i szumnie: „T r z e b a b y, n a l e ż a ł o b y". Wszyscy „szanujący się" lubią tylko t e o r e t y c z n e w s t ę p y — (mizerna umysłowość w s t ę p ó w!). Ale jak się zacznie gadać od dołu, praktycznie, do samej rzeczy przystępować, to, jakbyś jeden z drugim, na pustyni sam do siebie gadał... D o ś ć r a m i a r s t w a! — Gadajmy konkretnie i merytorycznie i — na Boga, śpieszmy się!...

Jest już gdzieś jakaś nowa Aleksandra Pletniówna, w tej chwili, kiedy ja to piszę, a Wy czytacie.

Swiat pracy

REPRESJE PRZECIW ZWIĄZKOM.

Władze administracyjne w główniejszych ośrodkach przemysłowych przystąpiły do tępienia destrukcyjnej działalności komunistycznej, prowadzonej w różnych związkach zawodowych klasowych. W ostatnich dniach zamknięto kilkanaście związków, kierowników ich zaś aresztowano. Najwięcej w Łodzi i we Lwowie. Ciekawe, że PPS, która temi związkami kieruje, ogranicza się w swej prasie tylko do rejestracji faktów. Dla ścisłości trzeba dodać, że aresztowani kierownicy rekrutują się przeważnie z „bezpartyjnych".

KONFISKATA ULOTEK.

Na tle fermentu w ZZZ wydał poseł Kapuściński w Katowicach ulotkę w 30.000 egzempl. Władze admin. odezwę w Drukarni Ludowej skonfiskowały. Treść jej skierowana była przeciwko tym grupom z ZZZ, które wypowiedziały posłuszeństwo Moraczewskiemu i zgłosiły akces do OZN.

Wśród nędzy i ciemnoty

Ilustrowany Kurjer Codzienny ogłosił krótki cykl reportaży Jana Wiktora — sprawozdań z podróży po wsiach podkarpackich z lekarzami, pracującymi w t. zw. „Lotnych, Wiejskich Ośrodkach Zdrowia”. Praca lekarska polega tu na docieraniu do tych miejscowości, gdzie niema stałej pomocy sanitarnej, i gdzie, skutkiem warunków materjalnych, lecznictwo stoi na najniższym poziomie.

Doskonały pisarz dał w tych reportażach wstrząsający opis nędzy, ciemnoty i brudu, który przeżera nawskroś wieś podkarpacką i nietylko podkarpacką. Lekarz, który zechce się poświęcić tej niesłychanie ciężkiej, odpowiedzialnej, a jakże potrzebnej pracy, znajdzie wszędzie, gdzie się pojawi, wdzięczne pole do działania.

Plaga wsi polskiej — wszawica, choroba brudu i nędzy, pochłania corocznie tysiące ofiar. Ciemnota nie pozwala tej strasznej, skądinąd wcale nietrudnej do leczenia chorobie, przeciwstawić tak skutecznego środka, jakim jest woda i mydło. A może nie tylko ciemnota, może brak najmniejszych choćby środków materjalnych jest tego stanu rzeczy bolesną przyczyną?...

Oto fragment rozmowy lekarki z kobietą wiejską, której dziecko jest w ostatniem stadjum wszawicy:

— To wasze niedbalstwo, brud. Trzeba było kąpać, w czystości chować. Wy matka nie czujecie, jak cierpi? Zamęczycie dziecko.

— Jak bedzie do życia, to bedzie żyło, a jak ma umrzeć, to umrze. Nikt nie pomoże, nikt nie zratuje, ino Pan Jezus.

— Jeśli nie będziecie wypełniali ściśle tego co mówię, to dziecko zostanie kaleką. Przez was.

— Cóż ja winnam. Krwibym z boku utoczyła. Chciałabym dobrze wychować. Czy wiem, co robić? Nie dziwujcie się pani. Żeby matka wiedziała, co robić z dzieckiem, toby robiła. Czy myślicie, że tylko moje dziecko takie? Wszystkie we wsi. Ciężkie życie dziecka od maleńkości.

— Chodziliście do szkoły, to was uczyli higjeny.

— Ej Boże, ej Boże, w zimę coś liznęłam nauki, a w lecie trzeba było paść, za krowami latać.

— Powinien ktoś matki pouczyć.

— Kto miał pouczyć? Dopiero pani pierwszy raz. Tak robiła matka, tak i ja będę robiła — mówi córka. I tyle dzieci marnuje się.

Czy my widzimy kiedy doktora? Kto nie ma na lekarstwo, to musi umierać...

I dalej:

— Ile ludzi w domu?

— Dziewięcioro!

— Ile dzieci?

— Siedmioro!

— Ile umarło?

— Sześcioro!

— Ile najmłodsze ma?

— Sześć miesięcy!

— Ile macie lat?

— 45!

— Dlaczego nie przywieźli dzieci? Należy wszystkie zbadać, bo jesteście chora.

— Jak przywieźć? Daleko. Nająć wóz? Skąd wziąć?...

— Ile macie ziemi?

— Mórg i świerć.

— Co mąż robi?

— No nic. Do piekłaby poszedł na robotę, ale nigdzie niema... Bardzo nędzne nasze życie.

*

I znów zmieniły się obrazy, znów strzępy rozmów, opowieść o życiu. Stanęła kobieta. Powieki bez rzęs, oczy czerwone jak dwie rany po wyłupieniu.

— Rosły mi psie włosy, wydzierali, nie pomogło. W życiu tyle się napłakałam. Nie dziwota. Tyle utrapień. Dzieci chorowały. Z tego moja choroba. Z płaczu przy dzieciach.

— Jakże leczyliście się?

— Różnie... no... tak jak na wsi... to już powiem—po długiem wahaniu powiedziała — sąsiadka utłukła cukru i wdmuchała mi go... nie pomogło, to drugi raz pogryzła i ze śliną plunęła w chore oczy... ale i to nic pomogło...

Jedno spojrzenie lekarki wystarczyło.

— Jaglica! Dzieci wasze chore na oczy?

— Też narzekają, też im psie włosy rosną. Dziwuję się czego, bo przecie nie mają strapień, jeszcze w życiu tyle nie napłakały się, co ja.

— Czem po myciu się wycierają?

— A co dopadną. Tem samem co ja.

— Płachtą z łóżka, ale najczęściej moją zapaską.

— Nawet o tem nie wiecie, że wy własne dzieci zarażacie...

Na zakończenie dodaje od siebie Redakcja „Il. K. C.”, że koszt prowadzenia „Lotnych Wiejskich Ośrodków Pracy” w Woj. Krakowskiem wyniósł 960 zł. miesięcznie i, że na pokrycie tych wydatków Ministerstwo Opieki Społecznej asygnowało 200 zł. miesięcznie, a wydział powiatowy krakowski 400 zł. miesięcznie. Resztę pokryto z funduszów Ubezpieczalni Społecznej.

Województwo Krakowskie jest terytorjalnie jednem z mniejszych województw w kraju. Przy organizacji tego rodzaju „Ośrodków” w całej Polsce, trzeba liczyć przeciętny koszt obsługi lekarskiej około 2.000 zł. miesięcznie na województwo, czyli 32 tysiące złotych na całość Państwa.



Z PAMIĘTNIKÓW WITTEGO.

„Wkrótce, w 1890-ym, otrzymałem nominację na ministra komunikacji, ku zdumieniu kół oficjalnych stolicy. Muszę powiedzieć parę słów o moich poprzednikach na tem stanowisku. Poyset. który był ministrem w okresie katastrofy pod Borkami, otrzymał tę nominację, ponieważ kierował edukacją wielkiego księcia Aleksego w zakresie spraw morskich. Był to człowiek bardzo rzetelny, ale bardzo mało inteligentny. Jego ignorancja w kwestjach kolei żelaznych była fatalna. Odznaczał się szczególną manją. Inspekcje na linji ograniczał do zwiedzania miejsc ustępowych. Jeżeli zarządzenia antyseptyczne nie były wykonane, wpadał w furję; ale jeżeli miejsca ustępowe były utrzymane czysto, wyrażał swe zadowolenie i już się niczem więcej nie interesował.

Naogół nie czynię zmian w moim personelu przy obejmowaniu nowego stanowiska. Tym razem natomiast nastawałem na dymisję pułkownika Wendricha. Wypłynął on przy poparciu wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza. Przez cały rok szalał na kolejach, zwalniając ludzi doświadczonych i wprowadzając w czyn źle przetrawione projekty...” (Mémoires du Comte Witte, 5-me édition, Paris, Str. 27).

k. o.

UWAGI

ŹDŹBŁO I BELKA.

Pisma sanacyjne piszą z oburzeniem o tem, że w Warszawie ilość zorganizowanej akademickiej młodzieży narodowej nie przekraczała 800, w stosunku do ogólnej liczby 10.000! I taka mniejszość trzęsie wyższemi uczelniami, wołają zgorszeni...

Abstrahując od ścisłości liczb przytoczonych, nic można w tem miejscu nic zwrócić uwagi: A iluż to w a s jest, panowie sanatorowie, w stosunku do ogółu narodu? I... trzęsiecie jego losami. Komu jak komu, ale wam nie przystoi się oburzać na to „źdźbło“ w oczach młodzieńczych bliźnich. Usuńcie wprzód „belkę“ z oczu własnych.

TRZY POKOLENIA.

W świątecznym numerze „Polonji“ skonfiskowano ustępy, jak się można domyślać, istotne, w trzech artykułach: Aleksandra Świętochowskiego, Ryszarda Świętochowskiego i Jana Bajkowskiego. Przedstawiciele t r z e c h p o k o l e ń: starego, w sile wieku i młodego. Mówili o bolączkach teraźniejszości. I żadnemu nic dano się wypowiedzieć do końca.

Najbardziej uderzająca jest konfiskata artykułu Aleksandra Świętochowskiego. Człowiek ten całe długie piękne swoje życie szukał prawdy, i uczył szukać jej, miłować ją — całe pokolenia, jedno po drugiem. I zawsze mógł to czynić spokojnie. Aż teraz u schyłku życia, w wolnej ojczyźnie... C e n z u r a l o c u t a...

SITWA.

Najmocniej przepraszam Pana Cenzora. Ale wobec szczególnego zainteresowania, jakiem Pan zaszczyca nasze pismo, dla uniknięcia wszelkich możliwych nieporozumień, zgóry stwierdzam, że ani soczysty i malowniczy termin „sitwa“ nie jest moim własnym wynalazkiem, ani też nie ja po raz pierwszy stosuję go do tej dziedziny spraw, którą właśnie zamierzam oświetlić.

Uczynił to prof. Stefan Kołaczkowski, niewątpliwie lojalny wobec podstaw reżimu, i uczynił to w piśmie „Marchołt“, wydawanem z subsydjów Funduszu Kultury Narodowej. On to pierwszy tam stwierdził, że w s z k o l n i c t w i e naszem w erze Jędrzejewiczowskiej zapanowała — „s i t w a“. Znaczy to, jak mniemam, pewnego rodzaju ciche a bezwzględnie wiążące porozumienie.

Otóż w ostatnich miesiącach czytaliśmy w prasie codziennej rewelacje o okropnych stosunkach w jednem z gimnazjów warszawskich, pozostającem pod kierownictwem p. dyr. Jakubowskiego, oraz pod opieką p. wizytatora Szymanowskiego. Rewelacje te utonęły w morzu — milczenia. Żadnych wyjaśnień, żadnych konsekwencyj!

Jak to nazwać? Tenax.

ROJA BOLESŁAW.

Niepodległość i jej realizacja

Pragnieniem i naczelną ideą całego narodu polskiego w okresie porozbiorowym była niepodległość. We wszystkich trzech zaborach, mimo przykładów hipokryzji i nawet wynaradawiania się, cały naród bez względu na klasy i stany staje w obronie polskości. Szare masy ludu bronią polskiego stanu posiadania, a przyszłą niepodległość polityczną rozumieją i utożsamiają z niepodległością człowieka.

Równocześnie intelektualna, polityczna góra narodu usiłuje uzyskać u rządów zaborczych ustępstwa na rzecz polskiego stanu posiadania. W zaborze austrjackim i rosyjskim udaje się to nawet częściowo. Warstwy te jednak nie traktują zdobyczy polityczno - narodowych równomiernie z uprawnieniami socjalnemi na rzecz mas ludowych. Z tych i innych względów, masy narodu — chłopi, robotnicy i pracująca inteligencja widzą istotną i całą niepodległość jedynie w ramach politycznie niepodległej Polski, utożsamiają społeczną sprawiedliwość z polityczną niepodległością i polskością. Za utrzymanie jej stanu posiadania i możliwe poszerzenie go, ponoszą masy narodu dotkliwe ofiary, walczą o nią bez względu na następstwa w najtrudniejszych warunkach, jak np. pod zaborem pruskim.

Pełna poświęcenia, długa i nieustępliwa walka szarych mas narodu jest nietylko trudniejszą, ale i realniejszą, choć nie tak efektowną, jak niedostatecznie przygotowane i w niewłaściwym czasie podjęte powstania, a także jak (choć moralnie i politycznie uzasadniony) czynny udział nas, legionistów w wojnie światowej 1914 r. w Legjonach.

Udział ten nasz, mimo, że po stronie najgroźniejszego politycznie, bo wynaradawiającego germanizmu, był usprawiedliwiony i wskazany potrzebą zadokumentowania czynem na froncie niezłomnej woli NARODU na rzecz niepodległości jego. Można było zrobić to na większą skalę i z większemi rezultatami najodpowiedniej w ramach armji francuskiej, albo Stanów Zjednoczonych. Niepodległościowa polityka polska nie była jednak jednolitą i nie liczyła się z tak poważnym czynnikiem, jakim był zawsze i jest, choćby liczbą nieznaczny, ale zorganizowany, czynnik wykonawczy dla wszelkiej akcji politycznej. W zrozumiałem przeświadczeniu ówczesnych przewódców politycznych naszych, że jednak przecież jedna ze zwalczających się stron zaborczych pokonaną być musi, a druga zwyciężyć, zabiegano przedewszystkiem o polityczne możliwości na rzecz polskiego stanu posiadania u dotyczących zwalczających się rządów zosobna i oddzielnie i tembardziej różniono się „politycznie", a raczej niepolitycznie i niekonsekwentnie na tle „orjentacji", a orjentacja ta była jedna, NIEPODLEGŁOŚĆ.

Poza tą trudną i nie bez owoców akcją polityków naszych, uczestniczymy, choć liczbą nieznaczni, ale z całem oddaniem, na rzecz polityki niepodległościowej, czynnie.

Z chwilą wybuchu wojny światowej, 1914 roku, wyruszają w pole z armją austrjacką i przed jej frontem na teren b. zaboru rosyjskiego, w kierunku Kielc oddziały „Strzelców", około 2 tys. ludzi, późniejsza „I-sza Brygada". Prowadzi je organizator akcji czynnej, rewolucyjnej 1905 r. w zaborze rosyjskim, z ramienia i w oparciu o Polską Partję Socjalistyczną, J. Piłsudski. Oddziały te, a raczej ramy dla przyszłej I-szej Brygady, zostały zorganizowane już na parę lat przed wojną, przeważnie z uczącej się młodzieży i zwolenników Polskiej Partji Socjalistycznej na obszarze Małopolski, przez trafnie przewidującego wypadki i doceniającego znaczenie jakiejś własnej organizacji wojskowej na wypadek wojny, Józefa Piłsudskiego. Oddziały P. O. W., „Strzelcy", a po paru miesiącach I-sza Brygada, robiły wrażenie przedewszystkiem ugrupowania ideowo politycznego; wojskowo, pomimo całej dzielności uczestników i wybitnych żołnierzy, przedstawiała się I-sza Brygada niesprawnie, natomiast politycznie aktywnie i radykalnie. Organizacja oddziałów tych dokonała się nietylko w oparciu o P. P. S., ale także przy udziale wybitnych ludzi P. P. S. i uczestników akcji rewolucyjnej w zaborze rosyjskim. To też ideologją oddziałów tych, powstałych w ramach i przy udziale P. P S., jest społeczno-niepodległościowa ideologja P. P. S.. Z czasem jednak, w niepodległej już Polsce, zwłaszcza w ostatnich latach rezerwowania się marszałka Piłsudskiego usiłuje część polityczno - ideologicznego otoczenia marszałka, przekształcić społeczno - niepodległościową ideologję na „ideologję Marszałka Piłsudskiego". Autorzy nie byli w możności zdefinjowania tej ideologji i nie zdają sobie sprawy, zdaje się po dziś dzień z omyłki, tak w tym wypadku, jak w innych, a zwłaszcza w zasadniczym narodowo - społecznym i państwowym.

Równocześnie z oddziałami I-szej Brygady formuje się w Krakowie i wyrusza na front w Karpaty dla zapełnienia luki pomiędzy grupami austryjackiemi „II-ga Brygada".

II-ga Brygada, mimo tak zacnego jej dowódcy — żołnierza, jak gen. Turski, dowódcy Pułku 2-go, płk. Zielińskiego, a z czasem dowódcy formującego się 3-go pułku mjr. Józefa Hallera, oraz zasłużonego na rzecz organizacji Legjonów szefa sztabu kpt. Włodzimierza Zagórskiego, nie posiadała oparcia o żadne ugrupowanie polityczne, ani polityczno-ideowego przywódcy, któryby ją prowadził.

Drugą Brygadę, m a s ę jej, prowadzi — i d e a n i e p o d l e g ł o ś c i.

Idea ta zespala masę drugiej Brygady w jej trudnych walkach zimowej kampanji 1914/15 r. w Karpatach i późniejszych przejściach. Idea ta spowodowała ludzi II-giej Brygady i emanacji jej, 4-go Pułku, do gładkiego zespolenia się w 1915 r. z I-szą Brygadą w służbie i politycznie, pomimo utrudnień służbowych i politycznych.

W istocie masa Legjonów, żołnierze frontu wszystkich Brygad Leg., I-szej, II-giej i później 1915 r. powstałej III-ciej Brygady, przejęci byli i reprezentowali na froncie jedną ideologję, stuletnie zmaganie się i wolę całego NARODU, i d e ę n i e p o d l e g ł o ś c i p o l i t y c z n e j i s p o ł e c z n e j.

Tylko ta idea zespala naród cały i energję jego zjednoczyć może.

Niepodległość cała, polityczna, społeczna i j e d n o c z e n i e sił narodu może być realizowane jednak tylko c z y n a m i.

KAROL PIOTR GÓRSKI.

Powrót zawiedzionych pielgrzymów

— Wszystko, co ludzkie, zasługuje na to, abyśmy się niem zajęli — pisał André Gide w swym dzienniku z lat 1932 — 1935. Temu hasłu był zawsze wierny.

Wielkość jego twórczości wysunęła go na czoło pisarzy świata. Ze zdobytego szczytu oceniał krytycznem okiem stan ludzkości; nie znalazł nic, coby mogło uciszyć jego troskę o rozwój ogólno ludzkiej kultury.

Wkońcu w tej mgle i rozbiciu ujrzał — jak pisze — „nowe niebo" i „nową gwiazdę", światło ze wschodu. Tam w Sowietach utopja idealnego ustroju, dotychczas jedynie śniona przez wielkie duchy, zdawała się przybierać widome kształty.

Informacje, statystyki, tonny propagandowych druków nie nasycają łaknącego zawsze objektywnej prawdy. Wystawa bolszewicka, urządzona w r. 1935 w Paryżu, pełna wykresów i zestawień o osiągniętych rezultatach, również nie wystarcza.

Pojechał — i doznał zawodu. Mógł później milczeć, ale nie pozwoliło mu na to poczucie odpowiedzialności. Reasumpcja jego spostrzeżeń, podana w książce pod tytułem „Powrót z Z. S. R. R."[1]), jest pisana w wielu miejscach krwią i żółcią. Krwią męki mieszkańców Rosji, żółcią goryczy autora.

Jakiż obraz dzisiejszej Rosji daje nam Gide?

Spróbujmy to przedstawić w formie djalogu, jaki na podstawie tekstu tej książki mógłby mieć miejsce między Gide'm a obecnym wyłącznym panem Rosji, Stalinem (któremu zresztą Gide poświęca w „Powrocie" liczne ustępy):

Stalin: — Jakże podobały się panu nasze obozy dla dzieci, parki kultury i wzorowe kołchozy?

Gide: — Jestem niemi szczerze zachwycony, ale...

St. (przerywa): — Słowa „ale" i „opozycja" zostały wykreślone z rosyjskiego języka, jeżeli idzie o ustrój Z. S. R. R. Obywatelom naszym wolno jedynie chwalić wszystko to, co jest w Sowietach.

G.: — Niestety! Przekonałem się o tem aż zanadto dobrze. Ja jednak nie jestem poddanym Sowietów, więc mogę mówić prawdę. Przecież pan, „władca ludów"[2]), doskonale wie, że poza obozami dla dzieci wałęsają się jakże liczni głodni i obdarci „bezprizorni". A obok owych wzorowych kołchozów (gdzie nawet każda kura zaopatrzona jest w numerek) inne niezliczone pozostają w biedzie. Te dekoracje są za wątłe, aby mogły zasłonić ruinę. Widziałem ludzi śpiących w czterech w pokoju o przestrzeni pięciu metrów kwadrato-

wych. Widziałem przed sklepami długie ogonki kupujących, z których tylko niewielu może otrzymać towary, zresztą w marnym gatunku i ohydne. Ta nędza mieszkańców źle odzianych i zmuszonych wskutek drożyzny poprzestać na chlebie i suszonej rybie! A ja przyjechałem tutaj po to, aby nie widzieć biednych!

St.: — Za to jednak jakiż ogrom wysiłków w dziedzinie mechanizacji. Cóż pan myśli o stachanowszczyźnie?

G.: — Ach, ta wasza osławiona stachanowszczyzna! Pokazywano mi robotnika, który wyrabia w osiem godzin to, co wykonywał przedtem w pięć dni. Ale czy właśnie na początku nie robił on tego w pięć dni, co powinien był zrobić w osiem godzin? Nasi francuscy górnicy, zwiedzając Sowiety, osiągnęli bez szczególnych wysiłków te same rekordy, tylko że — nie wiedzieli o tem, że to są rekordy...

Przyjechałem tu z wiarą w was jako budowniczych przyszłości świata. A cóż zastałem? Pomijam nędzę materjalną. Ale moralna i duchowa! Filantropja zniknęła, zniknęło nawet proste miłosierdzie, nastąpiła oschłość. Jednostronność w umysłach jest taka sama jak w ubiorach. Poglądy wszystkich sprowadzone zostały w każdej sprawie do jednego. Gdy rozmawiam z jakimś Rosjaninem, rozmawiam jakby ze wszystkimi... Tak już wymusztrowano mózgi... Widzę zupełny zanik osobowości!

St.: — Żądam od obywateli tylko prawomyślności. A co jest prawomyślne, podaje do wiadomości „Prawda". Ona co rano poucza ich, co myśleć i w co wierzyć. Rewolucja jest już ustabilizowana.

G.: — Rewolucja?! Kiedyś był tu duch rewolucyjny, ale dziś uznano go za kontrrewolucyjny. Nie chcecie pogłębiać rewolucji, bo to kłopotliwe dla was rządzących. Wytworzyliście już swą burżuazję, niezadługo wytworzycie i arystokrację. Wprowadziliście serwilizm — ludzie stracili nawet świadomość służalstwa. Popiera się tylko zasłużonych prawomyślnych i im pozwala się pławić w wygodach. A ogół niech cierpi! Aby zaś nie miał porównania i wyboru, odcięliście go od zagranicy i rozsiewacie rozmyślnie fałszywe informacje ,że zagranicą dzieje się znacznie gorzej niż u was. Coście zrobili ze sztuką? Przecież pisarzom tutaj wolno jedynie aprobować i chwalić. Odjęliście im prawo walki, stworzyliście sztukę na rozkaz.

Cóż za odstępstwo od pierwotnego ideału! Kompromis zeżarł wszystko. Rewolucja miała dać wolność, a dała strach i ortodoksję, której należy być ślepo posłusznym. A kto niezadowolony, to „Trockista". Cóżby to było, gdyby Lenin wrócił na ziemię?

St.: — Chcę, aby człowiek był szczęśliwy z obecnego stanu rzeczy i aby myślał: O! ZSRR! Ave! Spes unica!...

G.: — Tu jest tylko dyktatura jednostki! Głowy ludzi nie były jeszcze nigdy bardziej pochylone. Wątpię, aby w jakimkolwiek innym kraju (nie wyłączając hitlerowskich Niemiec) duch był mniej wolny, bardziej ukorzony, sterroryzowany, ujarzmiony...

Jak widzimy, pisarz dał ponury obraz życia w Rosji. Książka zawiera wielkie „J'accuse", oskarżenie tembardziej ważkie, że rzucone Sowietom przez niedawnego ich czciciela.

W „Powrocie" znać, że Gide nie znalazł jeszcze pełnego dla siebie rozwiązania, przechodząc wielokrotnie, jak się przyznaje, różne stopnie uczuciowe — od gorąca do mrozu. Również i ta ostatnia jego książka każe przypomnieć wypowiedziane niegdyś przez niego słowa w zakończeniu „Nourritures terrestres": „Jette mon livre. Dis-toi bien, que c'est n'est là qu'une des mille tortures possibles en face de la vie. Cherche la tienne".

[1]) Instytut Wydawniczy Bibljoteka Polska — tłumaczył J. E. Skiwski. — 1937 r.

[2]) Gdy Gide chciał nadać depeszę do Stalina ,otoczenie Gide'a złożone z „osób dość wysoko postawionych" nie zgodziło się, aby użył tylko słowa „Pan" i wymagało użycia tytulatury: „Pan, wódz robotników", albo „Pan, władca ludów"...

IRENA PANNENKOWA.

Gwiazda Racławic

Wielkie przełomowe zdarzenia historyczne są jak historyczne drogowskazy. Naród, któryby o nich nie pamiętał, któryby nie pragnął, nie umiał i nie mógł czcić ich należycie, rychłoby zatracił kontakt z całą wielką swoją przeszłością, temsamem zatraciłby historyczną swoją świadomość i w konsekwencji zdolność do dalszego rozrostu i rozwoju.

Racławice są takiem wielkiem, przełomowem zdarzeniem w dziejach narodu polskiego i, w szczególności — polskiego ludu.

Nie brak nam coprawda mędrków, którzy z gorliwością, godną lepszej sprawy, usiłują pomniejszyć, lub conajmniej zakwestjonować podstawy historyczne legendy racławickiej, jak i legendy kościuszkowskiej wogóle.

Mówi się m. in.: jakim tam Kościuszko był żołnierzem i wodzem, skoro, koniec końców — p r z e g r a ł.

Zapomina się, że i Napoleon, największy żołnierz i wódz ery chrześcijańskiej, także przecież, koniec końców, — p r z e g r a ł. Ba, i bodajże ta jego przegrana, ta końcowa tragedja orła, przykutego do skały, — dopełniła miary owej arcy-ludzkiej, prawdziwej wielkości tego niezwykłego żywota.

Zapomina się, że i Hannibal, największy wódz wszystkich czasów (jeśli wierzyć Napoleonowi, który przecież na czem jak na czem, ale na sztuce wojennej znał się...), także, koniec końców, — p r z e g r a ł. Przegrana, nie jest więc, sama przez się, żadnym dowodem przeciw wielkości.

Pomniejsza się także znaczenie Racławic, wskazując, że to była przecież porażka d r o b n e g o tylko stosunkowo o d d z i a ł u armji nieprzyjacielskiej. Ale zapomina się o niezmiernych, wchodzących tu w grę, imponderabiljach polityczno - moralnych.

Z tego punktu widzenia nasuwa się uderzająca analogja między Racławicami a Płowcami.

Pod Płowcami poniósł porażkę także zaskoczony przez Polaków oddział tylko wojsk krzyżackich, których siła główna pozostała nienaruszona i wkrótce miała się nam jeszcze potężnie i nieraz dać we znaki.

A jednak Płowce, zupełnie tak samo jak w pół tysiąca blisko lat później, Racławice, wywarły w Polsce ogromne, nigdy niezapomniane wrażenie, rozniecіły zupełnie niebywały entuzjazm.

Dlaczego?

Dlatego, że był to p i e r w s z y, niewątpliwy tryumf oręża polskiego nad Krzyżakami, którzy od lat stu okrągło, idąc od zwycięstwa do zwycięstwa, stale i systematycznie rozszerzali władztwo swoje nad Wisłą. Stąd Płowce rozbudziły niezmiernie żywo świadomość narodową polską, wzmocniły samopoczucie, stały się moralnem przygotowaniem oraz zapowiedzią tego, co miało przyjść po latach 80-ciu, — Grunwaldu.

Zupełnie tak samo Racławice. Był to pierwszy od lat stu blisko świetny tryumf oręża polskiego nad Moskalami, którzy systematycznie, gwałtem i podstępem zdobywali i wzmacniali swą przewagę nad Rzeczpospolitą, i krok za krokiem posuwali się naprzód, okupując jej terytorja. Pod Racławicami rozwiał się mit niezwyciężalności Rosji, podobnie jak pod Płowcami, przed laty blisko pięciuset, rozwiał się mit niezwyciężalności Krzyżaków. I Racławice, analogicznie, wywołały potężne wzmożenie ducha narodowego, wiary w siebie, stały się zaprawą moralną i zapowiedzią przyszłych świetnych starć pod Grochowem, Stoczkiem, Iganiami, i w końcu, w 90 lat jeszcze później, ostatecznej, tryumfalnej rozprawy — pod Warszawą.

Pod Racławicami stało się coś jeszcze więcej. W bitwie tej, główną i decydującą rolę odegrali c h ł o p i. Po raz pierwszy wtedy chłopi, jako świadomi obywatele i obrońcy ojczyzny, wstąpili na widownię dziejów Polski, po to, by z niej już nigdy, — mimo chwilowych tragicznych załamań się — nie ustąpić, by odgrywać na niej rolę coraz większą, aż do momentu, kiedy w r. 1920, tworząc główną już wtedy i w znacznej mierze ochotniczą masę wojsk polskich,

Tak, g w i a z d a R a c ł a w i c, zaświeciwszy nad ludem polskim, wiedzie go do coraz wyższych przeznaczeń. N i e m o ż e z a n i ą n i e i ś ć. Dla dobra swego i Polski — m u s i j e j b y ć w i e r n y.

„Szary" człowiek

Jest to twór wyobraźni demagoga u władzy. Kiedy Franciszek Józef I, cesarz Austrji i król Węgier, wyczuł w ministrach swoich słabość i bezradność, kiedy zapadał w złe sny i przeczucia, zjawiał się na murach w iluś tam językach solenny manifest „do moich ludów". Poprzez wysoki mur wartogłowów w mundurach wyciągał monarcha ręce do szarych ludów i ludzi. Słowa jego nie mijały bez echa, budziły jakieś mgliste nadzieje i jakieś raźniejsze nastroje. W tych momentach bowiem spotykał się i jednoczył cesarz z ludami w krytyce rządów, w piętnowaniu i dyskretnem potępieniu nieudolności i sobkostwa elity. Naiwną i prostą była wiara mas, „ludów", w przyrodzoną dobroć monarchy-opiekuna, i niemniej prostą i naiwną intencja władcy i pana, wiara w nieprzebrane zapasy przywiązania i cierpliwości szarego, małego człowieka. Żadna z tych rachub nie wytrzymała próby historycznej.

Nawet w najtotalniejszem państwie nie posiada dziś majestat władzy tego blasku i mocy, które dawała ongiś dostojna patyna tradycji. Bądź co bądź każdy widział i pamiętał, że to nie łaska Boża i wieki, lecz wola ludu namaściła wodza i wyposażyła jego elitę. Stąd też nie działa teraz historyczny patos dystansu i majestat, ale pracowite centra propagandy pompują dzień za dniem, godzina za godziną obrazem i drukiem, drutem i bez drutu panegiryk, entuzjazm, chwałę wodzów. Monarcha uciekał się do ludowego apelu rzadko, w ciężkiej tylko potrzebie, dzisiaj niezbędna jest i przyjęta nieprzerwana ciągłość tej propagandy upartej i jednostajnej, jak werbel deszczu jesiennego po dachu.

Do kogo zwraca się ona? Nie do jednostki, z nazwiskiem i z określoną pozycją społeczną, bo taka osoba ma zapewne swe żale i porachunki, i wiele wzajemnych pretensyj, które radaby przy okazji ujawnić i zgłosić. Kult szarego człowieka wykwitł i rozwinął się sztucznie nakształt nieporównanego dzieła łacińskiego natchnienia i poezji, grobu nieznanego żołnierza na szkarłatnem tle Wielkiej Wojny. Ten jednak symbol zamyka epokę aktem pietyzmu, szary człowiek zaś symbolizować chce nieskończoną wielość istot żywych, niespokojnych, ciekawych świata i przyszłości. Nie jest aktem wiary i miłości, ale cyfrą rachunku i elementem politycznej rachuby. Powstaje on z procesu, który ściera w proch wszelką indywidualność, każdy sprzeciw i krytykę, każdy niemal odruch samodzielnej myśli: wielkie koło młyna „totalizmu" i dyktatury miele ludzi na drobny pyłek, aż zostaną na powierzchni sami tylko szarzy ludzie.

Kto chce przejść praktyczny kurs tej nowoczesnej filozofji społecznej, ma niejedną sposobność: codzień naprzykład, z rozkazu szefa rządu, we wszystkich starostwach Rzplitej odbywa się od 10-tej do 12-tej uroczysty obrzęd zespolenia władzy z szarym człowiekiem. W butach z cholewami i w demokratycznej kurtce celebruje przedstawiciel rządu tę manifestację jedności myśli i uczuć, nawet obyczaju. Ceremonjał dworski nazywa to „cercle": całkiem podobnie wysłuchuje pan starosta głosów ludu, przyjmuje od każdego pismo i wręcza je z namaszczeniem sekretarzowi, dla pamięci swej i użytku biur. Jeśli zabłąka się w tłum ktoś ze znajomych, dobry ton wymaga udawać, że się nie zna pana starosty i w bridge'a z nim nigdy nie grało.

Obraz ten oddaje formę kultu. Treść jego poznać łatwiej w sądzie, gdzie w stare statki wlano młode wino. Sędzia współczesny ma nagół minę i sposób nawróconego grzesznika, który brnął długo w bagnie sprawiedliwości klasowej. Dziś, w erze kultu szarego człowieka, stosuje zasady sprawiedliwości socjalnej. Idą w grodzkim sądzie kolejno spory kamienicznika z lokatorem, obszarnika z fornalem, mieszczanina z służbą domową, dziewczyny z wiejskim uwodzicielem, rzemieślników, kupców, urzędników itd. wszystko przy nabitym słuchaczami parkiecie. Przy stole adwokatów w togach jedna cywilna figura, z ludu: to przedstawiciel związku zawodowego robotników, fachowy przedstawiciel świata pracy fizycznej, obrońca uciskanych, inkwizytor ścigający wyzysk i krzywdę. I właściwie w każdej sprawie, która zawadzi o dolę biedoty i szarość do niego Sąd przemawia.

A wreszcie trzecia, zgoła odmienna, różna sfera: to radio. W niem jakiś zbłąkany krytyk literatury, czy artysta, niemal, że każdem słowem przeprasza za to, że dziesięć minut zaprzątnie, a przy każdej sposobności prosi o poparcie, o listy i liczy liczbę zwolenników swojej audycji. Nikt natomiast nie prosi o to, kiedy grzmi w eterze rubaszną piosenką żołnierską, soczystym dowcipem, tangiem nadwiślańskiem, śpiewką wiejską lub wręcz mandoliną. Takim schlebiając upodobaniom i gustom władze radiowe jakoś dziwnie pewne są swego wyboru i sukcesu.

I tu i tam ,w sali przyjęć starostwa i sali rozpraw sądowych, w studio radiowem i na wielu jeszcze trybunach, skąd płynie z góry, z samej nieraz góry, apel do „szarego" człowieka, jest w geście i w tonie fałsz, brzmi nuta sztuczności i nieszczerości. Ci ludzie nie są sobą, lecz marjonetkami, tańczącemi w oryginalnym systemie hipokryzji społeczno - politycznej, który gnębiąc i niwelując jednostki radby zarazem dać szczęście ich sumie. W rezultacie wszystkie niedostatki kultury zastępuje system taki pychą i zarozumialstwem szarej przeciętności.

K. B.

„Sonata księżycowa"

Z szerokich horyzontów, jakie się otwarły przed filmem z chwilą wprowadzenia doń momentu dźwiękowego, korzystają wytwórnie i reżyserowie w zakresie dość ograniczonym. Nowy ten czynnik zużyto przedewszystkiem do przeobrażenia filmu niemego w film mówiony, potraktowano go jako ilustrację dźwiękową, lub jako środek do lansowania i popularyzowania tandetnych, bezwartościowych piosenek kabaretowych. Muzyka sama przez się rzadko tylko bywa osią filmów dźwiękowych, (wyjątek stanowią tu pseudomuzyczne, koszmarne w swej potworności „nadprogramy" amerykańsko-murzyńskich zespołów jazzowych), najczęściej stanowi jedynie pewnego rodzaju okrasę samej fabuły filmu; nigdy zaś jeszcze nie zdarzyło się, aby dźwiękowiec, sięgnąwszy w sferę prawdziwej, wielkiej Muzyki, miał odwagę i szlachetny gest utrzymania się w niej przez cały ciąg obrazu.

W filmie „Sonata księżycowa" pojawił się na ekranie poraz pierwszy w dziejach filmu artysta miary najwyższej, którego nazwisko wykluczało zgóry wszelkie kompromisy, stosowane dotąd zawsze przez reżyserów ze względu na niewybredne gusta t. zw. „szerokiej publiczności". Dlatego też strona muzyczna obrazu stoi na poziomie dotąd nawet w przybliżeniu nieosiągniętym, tak ze względu na wyłącznie najwyższy gatunek muzyki, jak i na najszlachetniejszy sposób jej interpretowania.

Pierwsze odrazu metry filmu stwarzają na sali nastrój, trudny do ujęcia w słowach. Mądry reżyser skumulował tu trzy momenty; siła każdego z nich zdolna jest wywołać najgłębsze wzruszenia, złączone zaś w jedną całość wstrząsają widzem i słuchaczem w sposób, dotąd w sali kinowej niespotykany. Pierwszym czynnikiem, dochodzącym do świadomości widza, są tu poprostu dźwięki Poloneza As-dur. Siła prawdziwego piękna, piękna muzyki, emanując z każdego dźwięku, ujarzmia salę, wzrusza ją sama przez się. A gra poloneza Paderewski. Gra go w tempie dość powolnem, nie nadając utworowi, jak to czyni większość pianistów, charakteru błyskotliwo - witruozowskiego, ale ujawniając jego cały, pełen głębokiej powagi, majestat. Do tych dwu momentów dołącza się i trzeci: jest nim widok postaci Paderewskiego, postaci, drogiej sercu każdego Polaka, podwójnie czczonej przez każdego Polakamuzyka.

Ukazanie się tej postaci na ekranie wstrząsa w sposób przedziwnie silny. Sztuka odtwórcza Paderewskiego dociera bowiem do nas przecież okólnemi — bardzo wprawdzie niedoskonałemi — drogami, bądź przez płyty gramofonowe, bądź też, jak to miało miejsce przed pięcioma laty, przez radjo. Ale zobaczyć Paderewskiego, a zwłaszcza zobaczyć przy fortepianie, nie było danem nam już oddawna, a wielu spośród nas nie było danem nigdy. Porównywałam w myśli wrażenia, które dał mi ów koncert radjowy w r. 1932, z temi, jakich doznawałem podczas wyświetlania „Sonaty księżycowej". Te ostatnie były o wiele silniejsze, choć przecież bezpośredniej — o ile tu wogóle o bezpośredniości może być mowa — łączyły nas z artystą dźwięki utworów, granych przezeń wówczas w radjo, niż łączy oglądany i słuchany film, kiedy odcięci jesteśmy od osoby Paderewskiego nietylko przestrzenią, ale i czasem. Ale myślę, że działa tu widok mądrej, głęboko skupionej twarzy artysty, któremu w gruncie rzeczy obojętnem jest, czy oprócz oczu kilkunastu setek słuchaczy, patrzy nań jeszcze objektyw aparatu filmowego. Widok tej twarzy, widok całej postaci, pochylonej nad klawiaturą, daje złudzenie kontaktu tak bliskiego, że niemal bezpośredniego. Wrażenie to potęguje jeszcze nieoczekiwanie doskonałe brzmienie fortepianu (instrumentu, jak wiadomo mało „fotogenicznego"), oraz idealna synchronizacja dźwięku.

Paderewski, prócz wspomnianego już poloneza As-dur Chopina, gra w swym filmie drugą Rapsodję Liszta, własnego Menueta (G-dur), oraz pierwszą część sonaty cis-moll Beethovena. Nigdy więc, ani jednym dźwiękiem nie wykracza poza sferę prawdziwej, wielkiej Muzyki. Dwa pierwsze utwory gra na sali koncertowej, ostatni zaś w prywatnym salonie, gdzie wszyscy słuchają go w najgłębszem skupieniu. Natomiast swego menueta gra, jak wynika z treści filmu, jedynie przypadkowo, jako akompanjament do miłego, bezpretensjonalnego występu tanecznego dwu małych dziewuszek. Niepodobna nie wspomnieć o uroku, jakiego nabiera ten utwór w interpretacji swego twórcy. Nieuchwytne rubata nadają mu lekki, pełen czarującego wykwintu, wdzięk; perlista powiewność figurek palcowych olśniewa blaskiem wirtuozowskim. Nie patrzymy na tańczące dziewuszki, zasłuchani w tę prześliczną muzykę, i nie bardzo się dziwimy, gdy wśród oklas-

ków, jakie wybuchają na przepełnionej publicznością sali kinowej po skończonym menuecie, ktoś w porywie entuzjazmu i zachwytu woła: „bis!”...

Reżyser i scenarzysta miał w „Sonacie księżycowej” niezwykle trudne zadanie. Musiał stworzyć wokół centralnej postaci Paderewskiego tło, które uwydatniając ją odpowiednio, ani na chwilę by jej nie zaćmiewało. Czyli, mówiąc inaczej, fabuła filmu musi toczyć się w sposób, któryby kazał pamiętać o bezustannej obecności w nim Paderewskiego, a jednocześnie losy ubocznych bohaterów filmu nie mogą przechodzić perypetyj tak fascynujących i niezwykłych, żeby to mogło odciągnąć uwagę widza od postaci głównej. Nie dość na tem: dostojeństwo osoby Paderewskiego wymagało jak największego umiaru w dziedzinie wyboru środowiska i tematu. Przy tych wszystkich zastrzeżeniach łatwo było wpaść w banał. Ale reżyser okazał się godnym zaszczytnego przedsięwzięcia. Dał scenarjusz nie nudny i nie banalny, a przytem pełen miłej prostoty i bezpretensjonalności. Gra Paderewskiego na fortepianie wynika zawsze logicznie ze scenarjusza; symboliczność owej sonaty Księżycowej ma swą miłą wymowę. Grupa kilku osób, działających w filmie, skupia się wokół jego najważniejszej postaci, sam zaś Paderewski nie gra w „Sonacie” żadnej cudzej roli. Jest poprostu sobą samym, wielkim artystą, którego postać i imię zna tak dobrze cały świat.

Zakończenie filmu jest niemniej silne, niż początek. Paderewski gra sonatę Księżycową. Jest to ostatnie wrażenie, jakie wynosimy z sobą z kina: dźwięki tej natchnionej muzyki i wspomnienie krótkiego, przeszywającego spojrzenia, jakie Paderewski, już w ostatniej sekundzie filmu, rzuca w objektyw aparatu.

J. Boniecka.

Przegląd Prasy Krajowej

SZCZERZE I ZDECYDOWANIE.

Min. Świętosławski przywykł dotychczas do prasy dobrej. Ale po ostatniem jego zarządzeniu, które dało efekt głośniejszy od najbardziej hałaśliwej petardy studenckiej, spotkał się z uzgodnionym atakiem prawie całej publicystyki. Wyjątek stanowi *Czas*, który z konsekwencją konserwatyzmu wierzy jeszcze, że „różeczką dziateczki Duch święty bić radzi“, i cała prasa żydowska z konsekwencją religijną, że „oko za oko, ząb za ząb“.

Zacznijmy od paraliżującego artykułu *Polonji*, gdzie w ostrym ataku na *ministra* Świętosławskiego pomaga zabójczo *profesor* Świętosławski:

> Warto posłuchać, jak się zapatrywał na stosunek władz do młodzieży akademickiej w r. 1933 prof. Politechniki Warszawskiej, p. Wojciech Świętosławski. W dziele zbiorowem, wydanem w Krakowie w r. 1933, a zatytułowanem „W obronie wolności Szkół Akademickich“, na str. 57, w artykule „Uwagi nad projektem nowej ustawy Szkół Akademickich“, wypowiedział p. prof. Wojciech Świętosławski następujące uwagi:
>
> „Wysuwane są ciężkie zarzuty przeciwko profesorom za to, że nie mają oni dostatecznego wpływu i nie korzystają ze swych uprawnień w zakresie oddziaływania na młodzież i powstrzymywania jej od wybryków. Zarzuty te są tylko w pewnym stopniu słuszne. Być może, iż wpływ moralny profesorów na młodzież mógłby być większy. Nie stoi to jednak w żadnym związku z tą częścią działalności profesorów, która dotyczy sądów, wymierzanych kar lub utrzymywania dyscypliny wśród młodzieży. Gdyby proste zarządzenia dscyplinarne prowadziły zawsze do wyników dodatnich, Rząd sprawujący w pełni władzę autonomiczną nad obywatelami danego kraju, nie miałby nigdy do czynienia z rozruchami ulicznemi, demonstracjami, ekscesami lub wreszcie jawnym buntem. Wszak metody kar administracyjnych sądów koronnych, nakładanych na młodzież i środków najostrzejszych, włącznie do masowego usuwania zastępów młodzieży, wypróbowane były niejednokrotnie przez Rosję i nigdy nie doprowadzały do wyników dodatnich. Rozruchy studenckie powtarzają się od czasu do czasu we wszystkich państwach, są one zawsze odbiciem pewnych warunków politycznych kraju lub pewnych idej, które w głowach młodzieży nurtują. Rozruchy ustają nie pod wpływem kar i represyj władz autonomicznych akademickich, lub też władz rządowych, ale pod wpływem zmiany nastrojów ogólnych młodzieży. Nastroje te jednak nie mogą się zmieniać pod wpływem perswazji lub moralnego wpływu profesorów. Zmieniają się one wraz ze zmianą prądów politycznych, moralnych i etycznych całego społeczeństwa, a młodzieży w szczególności. Rola wychowawcza profesorów może w wielu przypadkach osłabić, przytępić ostrość wystąpień, usunąć jednak całkiem nigdy nie zdoła“.
>
> Taka była w r. 1933 opinja w tej materji p. prof. Wojciecha Świętosławskiego. I zdaje się bardzo słuszna. Czyżby nie wiedział o niej obecny p. minister W. R. i O. P.?

Nie do przyjemnych należą uwagi pism sanacyjnych:

Dziennik Poznański:

> „Ciekawa jest linja podziału tej reakcji. Z zadowoleniem i bez zastrzeżeń komentują te zarządzenia dzienniki lewicowe, a zwłaszcza prasa pracująca nad montowaniem „frontu ludowego“. Prasa Stronnictwa Narodowego i narodowo-radykalna wysunęła szereg mniej lub bardziej uzasadnionych zastrzeżeń, uwypuklając zwłaszcza ten zasadniczy moment, że takiemi metodami nie można podchodzić do młodzieży studenckiej, gdyż rozwiązywanie jawnych i legalnych organizacyj spycha tę młodzież w podziemia konspiracji. Pragniemy dodać, że metody konspiracyjne są zawsze bardziej radykalne i bardziej bezkompromisowe, niż działalność organizacyj legalnych“.

Słowo:

> „Na uniwersytetach i wyższych uczelniach nie może pozostawać pustka polityczna, bo weszłyby w nią natychmiast najdziwaczniejsze konspiracje. Uważam, że min. Świętosławski do tej pustki dążyć nie może. Stąd mogę przypuszczać, że takie pozamykanie organizacyj politycznych studenckich jest jakby oczyszczaniem gruntu pod jakiś nowy prąd polityczny, przygotowywany dla młodzieży. Otóż sądzę, że metody działania i propagandy wśród sfery urzędniczej czy mie-

Odezwa

Niemirowicz Danczenko, jeden z najzjadliwszych satyryków rosyjskiej doby przedwojennej, wzbogacił dorobek wszechświatowej satyry szeregiem drobnych, ciętych utworów — prawdziwe perły — humoru.

Oto w skrócie jeden z nich.

Borys Michajłowicz Szestakow, sekretarz naczelnego komitetu socjal - demokracji w mieście Elsku, siedział w małym dusznym pokoiku na trzeciem piętrze i biedził się nad ułożeniem odezwy, której tekst przedłożyć miał do aprobaty naczelnemu komitetowi już za pół godziny, na specjalnie zwołanem posiedzeniu.

Obłoki dymu, stos niedopałków i sterty zmiętego, poprzekreślanego papieru świadczyły, że Borys Michajłowicz nie był w nastroju do pisania.

Wreszcie, rzuciwszy okiem na zegarek i skonstatowawszy z przerażeniem, że ma zaledwie dwadzieścia minut czasu — Borys Michajłowicz z determinacją zgarnął z czoła bujne pukle, zapalił świeżego papierosa, wziął czysty arkusz papieru i szybko, nerwowo począł pisać:

„Obywatele!

W tym historycznym momencie, gdy wrogie moce skupiły się, by zniszczyć i unicestwić całą demokrację — kategoryczny imperatyw nakazuje nam skupić się pod sztandarem socjaldemokracji, by nie dopuścić czerwonych hord eserowskich do...“

W tej chwili zastukano do drzwi, weszła ochrana i Borysa Michajłowicza odwieziono do więzienia.

Na drugi dzień. w tymże pokoiku siedziała towarzyszka Zofja Abramówna Cypkin, sekretarka generalna socjal - rewolucjonistów w Elsku i głowiła się nad tekstem odezwy, którą miała przedstawić radzie naczelnej S. R. już za trzy kwadranse.

Towarzyszka Cypkin, była w fatalnym nastroju: darła arkusz po arkuszu i nie mogła sklecić kilku choćby, porządnych, „porywających” zdań.

Nagle wzrok jej padł na leżący na podłodze przy stoliku zmięty arkusz zapisanego papieru. Machinalnie podniosła go, rozprostowała i — nagle rozpromieniła się.

— Ależ to wybornie — zawołała — trzeba tylko zmienić ataki esdeckie pod naszym adresem, na nasze ataki pod adresem esdeków — i odezwa gotowa!

Odgarnęła z czoła bujne kędziory, wzięła czysty arkusz papieru i szybko, nerwowo zaczęła pisać:

„Towarzysze!

W tym historycznym momencie, gdy wrogie moce skupiły się, by zniszczyć i unicestwić całą demokrację — kategoryczny imperatyw nakazuje nam skupić się pod sztandarem eserowskim, by nie dopuścić agentów zgnilej burżuazji: esdeków do...“

W tej chwili zastukano do drzwi, weszła ochrana i towarzyszkę Zofję Abramównę odwieziono do więzienia.

W trzy dni potem, w gabinecie szefa elskiej ochrany, siedział Iwan Iwanowicz Złobodiejskin, pierwszy zastępca, i gryząc nerwowo obsadkę myślał nad tekstem odezwy do narodu, któraby w rezultacie doprowadziła do zamieszek, umożliwiających elskiej ochranie wykazanie z jednej strony całej swej energji i sprężystości, a z drugiej — pozwoliła zlikwidować, niemiłe rządzącej administracji, stronnictwa.

Obłoki dymu, stos niedopałków i sterty zmiętego, poprzekreślanego papieru, świadczyły, że Iwanowi Iwanowiczowi praca szła ciężko.

Nagle, machinalnie wzrok jego padł na teczkę z dokumentami eserowskiemi, złożoną w ochranie po aresztowaniu towarzyszki Zoi Abramówny...

— Ciekawe — szepnął — odezwa esdecka w eserowskich papierach — warto przeczytać!

Przeczytał i zawołał: — Ależ to wyborna odezwa! Wystarczy tylko zmienić...

Potarł łysinę, zapalił świeżego papierosa, wziął czysty arkusz papieru i szybko, nerwowo począł pisać:

„Bracia!

W tym historycznym momencie, gdy wrogie moce skupiły się, by zniszczyć i unicestwić naszą świętą matuszkę Rosję — kategoryczny imperatyw nakazuje nam skupić się pod sztandarem ojczyzny.

„Bij żydów — ratuj Rosję!“

Następnego dnia w Elsku był — pogrom.

X.

szczańskiej a wśród młodzieży powinny być zupełnie inne. W wypadku pierwszym owa rekrutacja zgóry i systemem selekcji przewidziana w statucie „Ozonu" niewątpliwie się uda — stosowana na gruncie akademickim da wyniki fatalne".

Kurjer Poranny:

„Trzeba sobie jasno zdać sprawę, że ani dzisiejszej młodzieży nie można odsunąć od życia politycznego i zamknąć jej całkowicie w seminarjach, laboratorjach i salach wykładowych; ani, że osiągnięcie tego rodzaju „wymarzonego" stanu nie byłoby dobre. Byłoby złe, gdyż świadczyłoby o apatji politycznej i społecznej młodego pokolenia. Jest to stary pogląd, nie wytrzymujący krytyki życia i któremu zadaje kłam doświadczenie naszych czasów, jakoby suma fachowych wysiłków była wystarczająca do zorganizowania społeczeństwa. Poza czynnościami fachowców istnieje jeszcze element, który te wysiłki scala, organizuje, i nadaje im fizjognomję. Jest to odrębna dziedzina zainteresowań, absorbująca silnie myśl i uczucie, a w epokach, jak nasza, przeorywujących życie społeczne, mająca niezwykłą siłę atrakcyjną. Młodzież w tym procesie chce uczestniczyć i więcej niż uczestniczyć: chce temu procesowi nadawać ton. W tych pomysłach mogą być rzeczy słuszne i niesłuszne, dobre i złe. Można i trzeba je krytykować, przycinać wybujałości, koordynować młodzieńcze marzenia z wymową rzeczywistości. Ale nie można tych marzeń „skasować" — i byłoby źle, gdyby to się dało zrobić".

I t. d.... — wszyscy to samo poza wspomnianemi wyjątkami.

BIELMO Z OCZU...

Pod tytułem „Polscy wielbiciele hitlerowskiej gospodarki" zamieszcza *Polonia* katowicka niezwykle interesujący artykuł, przytaczający wprost rewelacyjne szczegóły o wynikach gospodarczych hitlerowskiego reżimu. Natomiast nie jest już rewelacją stanowisko „Gońca Warszawskiego". Czytamy:

„Są w Polsce ludzie, którzy otwierają usta z podziwu nad niemieckim cudem gospodarczym, podziwiają niemieckie metody gospodarcze i finansowe i zalecają ich stosowanie także u nas. Tych admiratorów hitleryzmu mamy i w obozie sanacyjnym i po stronie opozycji. Jedni i drudzy wywierają nacisk na rząd, by uprawiał politykę samowystarczalności, dalszego zetatyzowania naszego życia gospodarczego i planowej gospodarki na wzór niemiecki. Niedawno temu „Goniec Warszawski" w specjalnym artykule zaklinał wicepremiera Kwiatkowskiego, który przez zaprowadzenie centrali dewiz wprowadził planową gospodarkę do naszego handlu międzynarodowego, by zrobiwszy pierwszy krok, zrobił drugi i trzeci. „Czekamy—pisze „Goniec" — na śmiały program planowej gospodarki, do której zaprasza między innemi dobra konjunktura".

„Goniec", zachwycając się niemieckiemi metodami gospodarczemi, widocznie wcale ich nie zna. Gdy Hitler dorwał się w Niemczech do władzy, istniała już planowa gospodarka dewiz. Było wówczas około 1000 urzędników, którzy czuwali nad przestrzeganiem przepisów dewizowych. Kontrolę życia gospodarczego, czyli planową gospodarkę zaprowadził reżim hitlerowski. Dziś około pół miljona urzędników zajętych jest kontrolowaniem życia gospodarczego. Kontrola gospodarcza stała się celem sama sobie. Z punktu widzenia interesów partji rządzącej była ona zrozumiała, bo pół miljona jej zwolenników ma zapewniony chleb. I partja i jej protegowani mają żywotny interes w tem, aby ta kontrola nietylko pozostała, ale ogarniała coraz to nowe dziedziny życia. Doświadczamy tego i w Polsce.

LEGJONY I CENZURA.

W *Głosie Powszechnym* ukazała się opowiastka J. Moraczewskiego p. t. „Legjony i cenzura". Autor wspomina, jak to major E. pouczał rekrutów o ich „prawach i obowiązkach", które polegały na tem, że za rozmaite sprawki groziło rozstrzelanie. Poczem następuje analogja:

„Cenzury też przemawiają do nowozaciężnych dziennikarzy. Proszę mi darować, że użyję stylu mjr. E.

— Baczność!

— Macie pisać tak, aby dobrze było. Najlepiej nie krytykować. Najlepiej wszystko chwalić, pouczymy was jakie są wasze prawa i obowiązki: Artykuł o Niemczech będzie skonfiskowany, o Hitlerze będzie skonfiskowany, o Mussolinim będzie skonfiskowany, o Gdańsku będzie skonfiskowany: polemika z Miedzińskim będzie skonfiskowana, krytyka prokuratora będzie skonfiskowana, krytyka deklaracji płk. Koca będzie skonfiskowana, krytyka Obozu Zjednoczenia Narodowego będzie skonfiskowana.

Za przedruk mowy niebłagonadiożnej w sejmie lub senacie, numer cały ulegnie konfiskacie. Wiadomości o strajkach będą konfiskowane, omawianie trudności gospodarczych ulegnie konfiskacie. Artykuł o polityce wewnętrznej będzie skonfiskowany.

Omawianie sporów wewnętrznych będzie skonfiskowane, sprostowanie fałszywych wiadomości będzie skonfiskowane, ataki na kapitał i jego agentów będą skonfiskowane.

Białe plamy po konfiskacie nie będą cierpiane. Nadruk — „drugi nakład po konfiskacie" jest zakazany. Skargi na cenzurę wyjdą wam bokiem. A teraz skoro znacie już swoje prawa i obowiązki — idźcie i piszcie. Niech redaktor naczelny „wyda jakąś taką komendę, aby oni sobie poszli". *A. W.*

Z Prasy Zagranicznej

CUKIER CZY POLITYKA?

W Londynie odbywa się międzynarodowa konferencja przemysłu cukrowniczego. Po inne lata zamknięta w gronie przemysłowców, w roku bieżącym stała się powodem zainteresowania nietylko ekonomistów, ale i polityków całego świata. Czytamy w *Le Matin:*

„Konferencja wzbudza w kołach oficjalnych Wielkiej Brytanji najwyższe zainteresowanie. Obecność na niej nadzwyczajnego ambasadora prezydenta Roosevelta, Normana Davisa wystarcza do obudzenia nadziei, daleko wychodzących poza jej znaczenie ekonomiczne, zwłaszcza jeżeli się powiąże tę wizytę ze świeżą podróżą p. Waltera Runcimana, prezydenta Board of Trade, do Waszyngtonu.

Specjalne znaczenie przywiązuje się do mianowania szefem delegacji francuskiej na konferencję ministra gospodarki narodowej p. Spinasse".

Dodajmy, że według pogłosek resztę członków delegacji francuskiej stanowią nie, jakby się należało spodziewać, urzędnicy resortu gospodarki narodowej, ale urzędnicy Quai d'Orsay.

„Nieznaczna tylko granica dzieli sprawy ekonomiczne międzynarodowe od politycznych; nie jest więc rzeczą niemożliwą, że pomiędzy delegatami będą się toczyć rozmowy, dotyczące ogólnej polityki zagranicznej.

Francja, dzięki przedewszystkiem swoim koloniom, jest w stanie pokryć prawie całe swoje zapotrzebowanie cukru. Ameryka natomiast i Wielka Brytanja, to wielcy odbiorcy tego produktu. Spodziewać się należy, że te trzy kraje będą się starały dojść do wspólnego porozumienia.

Jeżeli zaś w wyniku konferencji londyńskiej dojdzie do podpisania umowy między temi trzema krajami, można się spodziewać, że umowa ta w niedalekiej przyszłości rozszerzy się na inne, ogólniejsze, zagadnienia ekonomiczne".

Nasuwa się zestawienie głosów prasy angielskiej:

Czytamy n. p. w *Daily Mail:*

„Skoro tylko konferencja imperjalna zakończy swe prace w kilka dni po koronacji króla Jerzego VI, zostanie podpisany nowy traktat handlowy między Anglją a Stanami Zjednoczonemi.

Bezpośrednio potem prezydent Roosevelt zwróci się do wszystkich wielkich mocarstw świata z projektem rozważenia nowego planu pokojowego, opartego na szeregu umów handlowych, któreby zadość uczyniły potrzebom każdego z krajów zainteresowanych.

Dołoży się wszelkich starań, aby dojść do porozumienia w sprawie długów wojennych, poczem Stany Zjednoczone byłyby gotowe do udzielenia znacznych kredytów Niemcom, Włochom a nawet Rosji Sowieckiej".

Precyzuje *Sunday Express:*

„Rozmowy p. Normana Davisa z ministrami brytyjskimi doprowadzą zapewne do umowy anglo-amerykańskiej na następujących zasadach:

1) Zwiększenie ilościowe wymiany towarowej między Londynem i Waszyngtonem przy zastosowaniu znacznej obniżki taryf celnych.

2) Nacisk anglo-amerykański na resztę świata w kierunku zmniejszenia wydatków na zbrojenia.

3) Ostateczne załatwienie sprawy długów wojennych".

Z zestawień tych głosów wynika, że „słodka" konferencja kryje w tym roku znacznie większe możliwości, niż dotychczas.

LUDENDORFF.

Pogodzenie się dwóch dotychczasowych przeciwników, Hitlera i gen. Lundendorffa, stało się powodem najczarniejszych prognostyków dla przyszłości pokoju europejskiego. Któż to jest bowiem generał Ludendorff? Na to pytanie daje odpowiedź *L'Ere Nouvelle:*

„Jego charakter gwałtowny, nieokiełzany, winien zwrócić uwagę wszystkich mężów stanu w Europie, jakiego to nowego doradcę dobrał sobie Hitler. To nie jest człowiek miękkiej ręki. Świeżo nam to zresztą wyjaśnił w swej programowej książce. Mówi tam, że wojna przyszła będzie wojną wygubienia, będzie dążyć do zniszczenia całego narodu przeciwnika, aby zrobić miejsce czyste dla narodu zwycięzcy.

Ostrzeżenie poszło pod adresem całego świata. Walka będzie bez pardonu wewnątrz i zewnątrz. Katolicy i Żydzi niemieccy doświadczą godzin krwawych i może żałować będą hitleryzmu pierwszych lat. A poza granicami, kto się nie zechce poddać doktrynie pangermanizmu, musi się przyłączyć do wojny powszechnej". *Azet.*

ADMINISTRACJA otwarta codziennie, prócz niedziel i świąt, od 10 do 14-ej. REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 11 do 14-ej. Konto w P. K. O. Nr 22822. Prenumerata wraz z przesyłką wynosi: w kraju zł. 1,50; zagranicą zł. — 2,— miesięcznie. Ogłoszenia: 1 stronica — zł. 200.—; ½ st. — zł. 125,—; ¼ str. — zł. 75,—. Rękopisów niezastrzeżonych nie zwraca się.

REDAKTOR: RYSZARD ŚWIĘTOCHOWSKI. WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „NIWA", SP. Z OGR. ODP.

Zakłady Graficzne DRUKPRASA, Nowy-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.